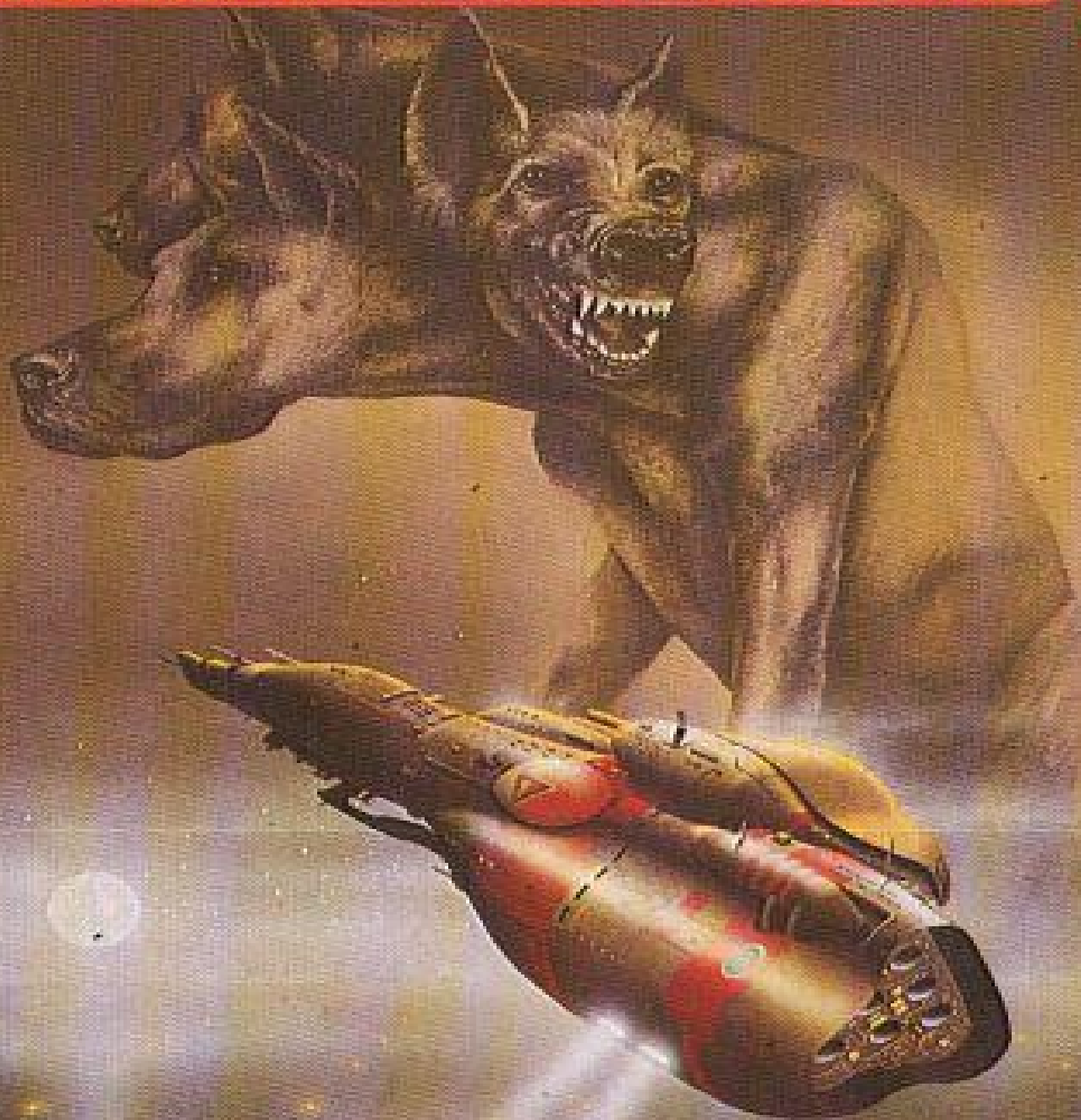


FANTASY & SF

SAMUEL R. DELANY

CZTEROKROTNY LAUREAT NAGRODY NEBULA,
ZDOBYWCA NAGRODY HUGO.

GWIAZDA IMPERIUM



PHANTOM PRESS

Samuel R. Delany

Gwiazda imperium

Przełożył: Marek Cieślik

PHANTOM PRESS INTERNATIONAL GDAŃSK 1992

Tytuł oryginału: Empire Star

Redaktor: Leszek Walkiewicz
Ilustracja: Jim Burns, Young Artists
Opracowanie graficzne: Maria Dylis
Copyright © 1966 by Ace Books © Copyright for the Polish edition
by PHANTOM PRESS INTERNATIONAL
GDAŃSK 1992
Druk i oprawa
Zakłady Graficzne w Gdańsku
Wydanie I
ISBN 83-7075-274-8

*Uparty się, że popłyniesz
Przez morze ku Atlantydzie, Odkrywasz, że w tamte strony —
Co można było przewidzieć —
Statek Wariatów jedynie
Kursuje, gdyż silne cyklony
Przewiduje prognoza na sezon; Musisz więc cały swój rezon
Wysilić na burdy i bzdury, Aż dzięki nim może ujdiesz
Za jednego z Chłopaków, który
Też lubuje się w bibie i bujdzie.*

W. H. Auden

(fragment wiersza „Atlantyda” w przekładzie Stanisława Barańczaka)

...prawda jest kwestią punktu widzenia.

Marcel Proust

Miał: warkocz jasnych włosów sięgający mu do pasa; smukłe, brązowe ciało, które — jak powiadali — przypominało ciało kota, gdy podczas Nowego Cyklu zwijał się sennie w kłębek w migotliwym świetle ogniska dozorczy pól; okarynę; czarne buty i czarne rękawice, dzięki którym mógł poruszać się po ścianach i sufitach; szare oczy, za duże przy jego małej twarzy o dzikich rysach; na lewej ręce — mosiężne pazury, którymi zabił dotąd trzy dzikie kepardy, po tym, jak w czasie jego nowocyklowej warty przeczołgały się przez przerwę w elektrycznym ogrodzeniu (i którymi kiedyś w bójce z Billym Jamesem — przyjacielskiej popychance obróconej nagle w sprawę serio przez zbyt szybki i zbyt silny cios — zabił tamtego chłopca; ale stało się to dwa lata wcześniej, kiedy był szesnastolatkiem, i niechętnie o tym myślał); za sobą — osiemnaście lat twardego życia w grotach satelity Rhys, spędzonych na doglądaniu podziemnych pól, podczas gdy Rhys cykloidalnie obiegał czerwonego olbrzyma Tau Ceti; skłonność do oddalania się od Mieszkalnych Grot, by popatrzeć w gwiazdy, co wpędziło go w kłopoty co najmniej czterokrotnie w ciągu ostatniego miesiąca, a w czasie ostatnich czterech lat wysłużyło mu przezwisko Kometa Jo; wuja imieniem Klemens, którego nie cierpiał.

A potem, kiedy już stracił wszystko, oprócz — jakimś cudem — okaryny, wracając myślą do tych rzeczy, zastanawiał się, jak wiele dla niego znaczyły, jak bardzo zdeterminowały jego młodość i jak marnie przygotowały go do wejścia w wiek męski.

Zanim jednak zaczął tracić, zyskał: dwie rzeczy, które — razem z okaryną — zachował aż do końca. Jedną z nich było diabelskie kocię o imieniu Dik. Drugą byłem ja. Jestem Klejnot.

Mam świadomość wielodrożną, co znaczy, że patrzę na wszystko z różnych punktów widzenia. To jedna z funkcji, jakie spełnia ciąg alikwotów w harmonicznym układzie mojej struktury wewnętrznej. Dlatego też opowiem większą część tej historii z punktu widzenia, który nazywany jest — w kręgach literackich — narratorem wszechwiedzącym.

Ceti okrwawiała zachodnie turnie; Torus, olbrzymi jak Jowisz, przesłaniał ćwierć nieba czarną krzywizną, a biały karzeł Oculus srebrzył skały na wschodzie. Kometa Jo o włosach koloru pszenicy stąpał za swymi dwoma cieniami: jednym długim i szarym, drugim krępym i rdzawym. Z głową odrzuconą do tyłu wpatrywał się w pierwsze gwiazdy, a wokół niego przemykał w pędzie wieczór o barwie wina. Długimi palcami prawej dłoni, o paznokciach poobgryzanych jak u wszystkich chłopców, obejmował okarynę. Wiedział, że powinien zawrócić; powinien wczołgać się spod dachu nocy prosto w rozjarzony kokon Mieszkalnej Groty. Powinien odnosić się z szacunkiem do wuja Klemensa i nie powinien wdawać się w bójki z chłopakami na Polowej Warcie — było tyle rzeczy, które powinien robić...

Jakiś odgłos. Kolidzja skały z nieskałą.

Przykucnął, a jego opatrzona w szpony lewa dłoń, mordercze przedłużenie wysmukłego, umięśnionego ramienia, błyskawicznie uniosła się w górę, by ochronić twarz. Kopardy skakały do oczu. Tylko że to nie był kepard. Jo opuścił pazury.

Ze szczeliny wąwozu wygramoliło się z trudem diabelskie kocię, balansując na pięciu z ośmiu nóg, i zasyczało. Miało trzydzieści centymetrów długości, trzy rogi i wielkie szare oczy koloru oczu Jo. Zachichotało; diabelskie kocięta robią to, kiedy są zdenerwowane — na ogół z powodu utraty swoich diabelskokocich rodziców, którzy mają po piętnaście metrów długości i są całkowicie nieszkodliwi, jeśli przypadkiem na kogoś nie nadepną.

— Co jest? — zapytał Kometa Jo. — Twoi starzy dali nogę?

Diabli kociak znowu zachichotał.

— No, co jest grane? — nalegał Jo. Kociak spojrział przez lewe ramię i zasyczał.

— Dobra, zara zobaczymy. — Jo skinął głową. — Zasuważ, kociak.

Marszcząc brwi, ruszył do przodu; w ślizgu jego nagiego ciała ponad skałami było tyleż gracji, co w jego mowie — nieokrziesania. Opadł ze skalnej półki na czerwoną, pokruszoną ziemię. Kiedy skakał, włosy otoczyły jego ramiona żółtą chmurą, by w końcu opaść mu na twarz; odrzucił je do tyłu. Kociak otarł się o jego kostkę, ponownie zachichotał i śmignął za wielki głaz.

Jo ruszył za nim — i rzucił się w tył, rozplaszczając na skale. Pazury jego lewej ręki i kostki palców prawej zgrzytnęły o granit. Oblał się potem. Na gardle, z boku, wystąpiła mu wielka, wściekle pulsująca żyła, a jego moszna skurczyła się jak suszona śliwka.

W gejzerze o pół metra wyższym od Jo pieniała się i spalała zielona ciecz. W jej płomienistym chaosie tkwiły jakieś istoty — których nie widział, ale które wyczuwał, jak wiją się, krzyczą bezgłośnie, konają w ogromnym bólu. Jedna z nich z całych sił starała się przebić na zewnątrz.

Diabelskie kocię, nieświadome owej agonii, przyskoczyło do gejzeru, splunęło dumnie i odskoczyło z powrotem.

W chwili gdy Jo zaryzykował nabranie oddechu, istota wyrwała się na zewnątrz. Dymiąc zatoczyła się przed siebie. Podniosła szare oczy. Powiew wiatru strącił z jej ramion długie włosy o barwie pszenicy, kiedy przez chwilę poruszała się z pewnością — jakby kocią — gracją. Potem runęła w przód.

Coś silniejszego niż strach kazało Jo wyciągnąć ręce i schwytać wyprężone ramiona istoty. Na pazurze zacisnęła się dłoń. Na dłoni — pazur. Dopiero gdy Kometa Jo klęczał, a postać dyszała w jego objęciach, zrozumiał, że trzyma w ramionach swego sobowtóra.

W głowie eksplodowało mu zdumienie, a jego język był jednym z przedmiotów obluźowanych wybuchem.

— Ktoś ty?

— Musisz dostarczyć... — zaczęła postać, rozkaszała się i na chwilę straciła ostrość rysów — dostarczyć... — powtórzyła.

— Że co? Że co?! — zawołał Jo głosem pełnym zdumienia i przerażenia.

— ... dostarczyć wiadomość do Gwiazdy Imperium. — Mowa miała czysty, precyzyjny akcent interlingu obcoświatowców. — Musisz dostarczyć wiadomość do Gwiazdy Imperium!

— Niby co mam powiedzieć?!

— Po prostu dostań się tam i powiedz im... — Postać znowu się rozkaszała. — Tylko tam dotrzyj, nieważne, ile ci to...

— Co ja mam, do diabła, mówić, jak już tam niby będę? — nie ustępował Jo. Wtedy dopiero przyszło mu do głowy to wszystko, o co powinien był zapytać. — Skądże się tu wziął? Gdzieś leciał? Co się stało?

Wstrząsana konwulsjami postać wygięła się w kabłąk i wysliznęła z rąk Komety Jo. Kometa Jo sięgnął do jej ust, chcąc rozewrzeć je przemocą i nie dopuścić, by połknęła język, ale zanim jej dotknął — rozpuściła się.

Zakipiała i zaparowała, zapieniła się i zadymiała.

Większe zjawisko uspokoiło się tymczasem; było teraz tylko kałużą oblewającą zielsko. Diabelski kociak podszedł do jej skraju, zawęszył i wyłowił coś łapą. Kałuża zastygła, a potem zaczęła szybko parować.

Kociak ujął wyłowioną rzecz w pysk, po czym, mrugając szybko, podszedł do Jo i położył przedmiot między kolanami chłopca. Następnie usiadł i zaczął myć sobie różowe futerko na piersi.

Jo spojrział w dół. Przedmiot był wielobarwny, wielościenny, wielodrożny i byłem nim ja. Jestem Klejnot.

Och, jakże długą przebyliśmy drogę — Norn, Ki, Marbika i ja — po to tylko, żeby zakończyć ją

w tak nagły i tragiczny sposób! Ostrzegałem ich, i owszem, kiedy nasz pierwszy statek się zepsuł i odlatywaliśmy z Pd. Doradus na tym organoformowym jachcie. Wszystko wyglądało różowo, dopóki pozostawaliśmy w stosunkowo zapyłonym rejonie Obłoku Magellana, ale gdy weszliśmy w opustoszałą przestrzeń Spirali Ojczystej, mechanizm otorbiający nie miał już czego poddawać katalizie.

Chcieliśmy zatoczyć krąg wokół Ceti i skierować się ku Gwieździe Imperium z naszym bagażem nowin dobrych i złych, kroniką sukcesów i porażek. Ale straciliśmy powłokę i organoforma, niczym jakaś szalona ameba, chlupnęła w satelitę Rhys. Przeciężenie było zabójcze. Ki zginął, nim jeszcze wylądowaliśmy. Marbika rozpadła się na tysiąc idiotycznych części, walczących o przeżycie i umierających w przetrwalnej galarecie, w której zostaliśmy zawieszeni.

Norn odbył ze mną szybką naradę. Pobieźnie dokonaliśmy perceptoralnego rozpoznania obszaru w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów od miejsca katastrofy. Tymczasem organoforma zaczęła już proces samozniszczenia; jej prymitywna inteligencja obarczała nas winą za wypadek i pałała żądzą mordy. Rozpoznanie perceptoralne ujawniło małą kolonię Terran, którzy pracowali przy uprawie pliazylu, porastającego przestronne podziemne groty. Jakies trzydzieści kilometrów na południe była nieduża Stacja Przewozowa, skąd pliazyl wysyłano do Centrum Galaktycznego, by stamtąd rozprowadzać go między gwiazdy. Ale satelita jako taki był niewiarygodnie opóźniony w rozwoju.

— Z tych, na które w życiu trafiłem, to chyba najbardziej rozdrożne społeczeństwo, jakie jeszcze można nazwać inteligentnym — zauważył Norn. — Na całej planecie wykrywam nie więcej niż dziesięć umysłów, które były kiedykolwiek w innym układzie gwiazdnym, z czego wszystkie należą do pracowników Stacji Przewozowej.

— W której mają bezpieczne, nieorganiczne statki, a nie jakiś złom z manią prześladowczą — dodałem. — Przez ten nasz egzemplarz obaj zginiemy i nigdy nie dolecimy do Gwiazdy Imperium. Powinniśmy być na jednym z takich statków. A ten tu — też coś!

Temperatura protofotoplazmy stawała się mocno nieprzyjemna.

— Jest tu gdzieś niedaleko jakiś dzieciak — powiedział Norn. — I jeszcze... co to jest, u licha?

— Terranie mówią na to „diabelskie kocię” — wyjaśniłem, przechwyciwszy informację.

— Jedno jest pewne: bynajmniej nie ma rozdrożnego umysłu!

— Ani też szczególnie wielodrożnego — powiedziałem. — Ale zawsze to już coś. Może dałoby radę dostarczyć wiadomość?

— Ma inteligencję półkretyna — rzekł Norn. — Terranie mają przynajmniej niezłą ilość tkanki mózgowej. Gdyby tylko udało nam się skłonić tych dwoje do nawiązania współpracy... Ten dzieciak jest dosyć bystry — no, ale taki rozdrożny! Z kolei kocię jest co najmniej parodrożne, więc mogłoby choćby przekazać mu wiadomość. Dobra, spróbujemy. Sprawdź, czy uda ci się ich tu sprowadzić. Kiedy się skryształizujesz, będziesz mógł na trochę odwlec śmierć, prawda?

— Tak — odparłem niechętnie. — Ale nie wiem, czy tego chcę. Nie sądzę, żebym potrafił być tak bierny, być po prostu punktem widzenia.

— Nawet będąc biernym — powiedział Norn — możesz być bardzo potrzebny, zwłaszcza temu rozdrożnemu chłopcu. Jeśli się zgodzi, czekają go ciężkie chwile.

— Dobrze, niech będzie — powiedziałem. — Skryształizuję się, ale nie powiem, żeby mnie to cieszyło. A ty wyjdź i zobacz, co sam możesz zrobić.

— Cholera! — zaklął Norn. — Nie podoba mi się to umieranie. Nie chcę umierać. Chcę żyć, chcę polecieć do Gwiazdy Imperium i chcę im powiedzieć.

— Pospiesz się — rzekłem. — Marnujesz czas.

— Dobra, dobra. Jak myślisz, jaki kształt powinienem przybrać?

— Pamiętaj, że masz do czynienia z psychiką rozdrożną. Musisz przybrać ten jedyny kształt, na który chłopak może zwrócić dość uwagi i którego nie uzna jutro rano za jakiś zły sen.

— Dobra — powtórzył Norn. — No, to jazda. Żegnaj, Klejnocie.

— Żegnaj — odparłem i zacząłem się krystalizować.

Norn przedarł się do przodu, a bulgocząca galareta oklapła, kiedy przebił się przez nią na skały, gdzie czekał dzieciak. Kici, kici, kici — nadałem w kierunku diabelskiego kociaka. Doskonale nawiązał współpracę.

Kometa Jo, wracając do grot, wygrywał na okarynie powolne melodie i rozmyślał. Kamień szlachetny (czyli Klejnot, czyli ja) spoczywał w sakwie u jego pasa. Diabelski kociak uganiał się za świetlikami, przystając co rusz, żeby powyciągać szczecinę z miseczek łap. Raz przeturlał się na grzbiet i zasyczał na jakąś gwiazdę, ale po chwili popędził za Jo. Jego umysł wcale nie był rozdrożny.

Kometa dotarł do skalnej półki na stoku Smakowitej. Popatrując zza skały, zobaczył wuja Klemensa stojącego przy drzwiach do groty — wuj wyglądał na mocno zirytowanego. Kometa obmacał językiem policzek w poszukiwaniu resztek obiadu, wiedząc, że nie dostanie tego dnia kolacji.

Ktoś nad jego głową zawołał:

— Siemasz, głupolu! A wujo Klem taki na ciebie wściekły, że hej!

Spojrzał w górę. Jego daleka kuzynka Lilly zwieszała się z krawędzi wyższego urwiska, gapiąc się w dół.

Dał jej znak; zsunęła się i stanęła obok niego. Miała włosy krótko ścięte, „na szczotkę” — zawsze zazdrościł dziewczynom takich włosów.

— Twój kociak? Jak go wołasz?

— Nie mój — odparł Jo. — Hej, a niby kto ci pozwolił ruszać moje glany i rękawice, co?

Miała na sobie wysokie do kolan czarne buty i sięgające łokci rękawice, które Jo dostał od Charony na dwunaste urodziny.

— Chciałam na ciebie poczekać i cię ostrzec, jak się wujo Klem wścieka. No i musiałam tam wisieć, żeby widzieć, jak wracasz.

— Gurga tam, musiałaś! Dawaj. Tylko żeś się chciała do nich dorwać. No jazda, oddawaj. Nie mówiłem, że ci je wolno nosić.

Lilly z ociąganiem wyłuskała się z rękawic.

— Niech cię gurga — powiedziała. — Nie dasz mi w nich chodzić? — Wysunęła nogi z butów.

— Nie — odparł Kometa.

— Dobra — powiedziała Lilly. Obróciła się i zawołała: — Wujku!

— Hej! — zaprotestował Jo.

— Wujku Klemensie, Kometa wrócił!

— Przymknij dziób! — syknął Kometa, po czym odwrócił się i pobiegł z powrotem wpoprzek skalnej półki.

— Wujku Klemensie, on znowu ucieka... W tej właśnie chwili diabelski kociak wbił dwa z trzech rogów w kostki nóg Lilly, podniósł w pysku buty i rękawice, po czym pobiegł za Kometa — co było z jego strony niezwykle wielodrożnym działaniem, jeśli wziąć pod uwagę, że absolutnie nikt mu nic nie powiedział.

Piętnaście minut później Kometa siedział w kucki pośród oświetlonych gwiazdami skał, wystraszony i zły. Wtedy właśnie diabelski kociak podszedł i upuścił przed nim rękawice i buty.

— Hej? — powiedział Kometa Jo, rozpoznawszy swoje rzeczy w kasztanowej ciemności. — Hej, dzięki! — Podniósł je i założył. — Charona — powiedział wstając. — Idę do Charony. — Bo Charona dała mu buty; bo Charona nigdy nie wściekała się na niego; bo Charona mogła wiedzieć, gdzie leży Gwiazda Imperium.

Ruszył, ale po chwili odwrócił się i popatrzył surowo na kociaka. Diabelskie kocięta są znane ze swej niezależności i ani nie przynoszą, ani nie noszą niczego za ludźmi jak psy.

— Diabelski kociak — powiedział Jo. — Di kociak. Dik. Jakby imię. No jak, Dik, zasuwasz dalej ze mną? — Co było aktem zaskakująco nierozdrożnym; w każdym razie mnie to zaskoczyło.

Kometa Jo ruszył, a Dik podążył za nim.

Przed świtem spadł deszcz. Mżawka obślinała mu twarz i obsypywała klejnotami jego rzęsy, kiedy zwisał ze sklepienia urwiska, patrząc w dół na bramę Strefy Przewozowej. Wisiał jak leniwiec, a na jego brzuchu jak w kolebce spoczywał Dik.

W czerwieniącym świetle wlokły się pomiędzy skałami dwie ciężarówki z pliazylem. Za chwilę Charona przyjdzie, żeby je wpuścić. Odchylając głowę w tył, aż świat obróci się do góry nogami, sięgał wzrokiem poprzez skalistą dolinę, spiętą podwójnym sierpem Mostu Brooklińskiego, aż do platform załadunkowych, gdzie w czerwonym porannym deszczu balansowały statki międzygwiazdne.

Gdy ciężarówki wyjechały z gęstwiny dembrowego winobluszczu, który w pewnym punkcie rozkrzewiał się nad drogą, Jo zobaczył Charone idącą w kierunku bramy. Przed nią biegł 3-Pies, szczekając przez siatkę na zatrzymujące się pojazdy. Diabelski kociak przestąpił nerwowo z nogi na nogę. Jedną z cech, którymi przypominał zwykłego kota, była antypatia do psów.

Charona pociągnęła za dźwignię u bramy i kraty podjechały w górę. Kiedy ciężarówka przetaczała się przez wjazd, Jo wrzasnął w dół z urwiska:

— Hej, Charona, przytrzymaj no je dla mnie!

Uniosła swą łusą głowę i wykrzywiła pomarszczoną twarz.

— Ktoś ty, hen na wysokościach? 3-Pies zaszczekał.

— Uwaga! — zawołał Jo, po czym puścił się skał i przekreślił w powietrzu. Spadł tak jak Dik, zwinięty w kłębek. Lekko i sprężysto wylądował w swoich butach przed Charona.

— Ho, ho — Charona zaśmiała się, chowając zwinięte dłonie w kieszeń błyszczącego od deszczu srebrzystego skafandra, który ściśle opinał jej ciało. — Żwawy z ciebie skrzat. Gdzież to się skrywałeś przez miesiąc bez mała?

— Warta Nowego Cyklu — powiedział Jo z krzywym uśmiechem. — Patrz, o, mam na sobie twój prezent.

— Zaiste, dobrze, iż cię w nim widzę. Wchodź, wchodź, bramę trza mi zawrzeć.

Kometa zanurkował pod do połowy opuszczoną kratą.

— Słuchaj no, Charona — zaczął, kiedy razem ruszyli mokrą drogą — co to takiego Gwiazda Imperium? I gdzie? I jak się tam dostać? — W myśl niepisanej umowy skreślił z drogi, żeby przejść się po nierównym gruncie doliny pod jezior metalu zwany Mostem Brooklińskim.

— Wielkać to gwiazda, młodzieńcze, którą

, 22

praprapradziady twoje na Ziemi Aurigae zwali. Leży na siedemdziesiątym drugim stopniu stąd, rachując naokół galaktycznej osi, w odległości hiperstatycznej pięćdziesiąt pięć koma dziewięć i, jak to w starożytności powiadali, niepodobna zgoła, abyś się tam dostał.

— Czemu?

Charona roześmiała się. 3-Pies pobiegł przodem i zaszczekał na Dika, który zjeżył się, zaczął

jakaś odpowiedź w kocim języku, ale rozmyślił się i odskoczył.

— Można by okazję chwycić z jakowymś transportem i tako rozpocząć; atoli niepodobna zgoła, byś ty tego dokonał. A jeno to się liczy.

Kometa Jo zmarszczył brwi.

— Niby to czemu nie? — Zamachem ręki urwał główkę z łydygi jakiegoś zielska. — A właśnie że daję wióra z tej planety, i to już!

Charona uniosła nagą skórę, która pozostała w miejscu jej brwi.

— Jest w tobie, widzi mi się, krzyna determinacji. Od czterystu wiosen pierwszy jesteś na tej ziemi zrodzon, który mi tak powiada. Powróć, Kometo Jo, do twego wuja i uczyn pokój w Mieszkalnej Grocie.

— Gurga tam — powiedział Kometa Jo i kopnął jakiś mały kamyk. — Chcę stąd zrywać. Czemu nie mogę?

— To rozdrożne, parodrożne i wielodrożne

— odrzekła Charona. A ja obudziłem się w mojej sakwie. Może mimo wszystko istniała jakaś nadzieja. Gdyby ktoś mu to wszystko wyjaśnił, wędrówka stałaby się łatwiejsza. — Społeczność tutejsza rozdrożna jest, Kometo. Podróże kosmiczne nie mają z nią nic wspólnego. Prócz ciężarówek pliazyl tu dowożących i paru dzieciąt jak ty sam ciekawych wszystkiego, nikt nigdy nie wstępuje w te progi. A nim rok przejdzie, przestanieś przychodzić, zaś twoje wszystkie tu bytności będą mieć dla ciebie tę jeno wagę, że z większym pobłażaniem spojrzeć będziesz na swoich, gdy sami zawędrują pod bramę albo wrócą do Grot Mieszkalnych z magicznymi świecidełkami z gwiazd. By wyprawiać się między planety, trza umieć obcować z istotami co najmniej parodrożnymi, a często wielodrożnymi. Ty zaś jeno głowę byś tracił i nie wiedział, kędy się obrócić. Nie minęłyby dwa kwadranse lotu kosmicznym statkiem, a okręciłbyś się na pięcie i postanowił wracać, porzucając swój koncept jako nedorzeczny. Poniekąd dobrze to, że posiadasz umysł rozdrożny, bo dzięki niemu bezpiecznie na Rhysie pozostajesz. I chociaż bramę przestępujesz, szansę masz niewielkie na, rzec by można, zepsucie, już to wizytami w strefie przewozowej, już to choćby przygodnym zetknięciem z czymś, co z gwiazd pochodzi, jako te trzewiki i rękawice, którem ci dała.

Wyglądało na to, że skończyła, i zrobiło mi się smutno, bo na pewno niczego to nie wyjaśniało. Ale wiedziałem już, że Jo wyruszy w drogę.

Tymczasem Kometa Jo sięgnął po swoją sakwę, odsunął okarynę i uniósł mnie na otwartej dłoni.

— Charona, widziałaś no kiedy coś takiego?

Zamajaczyli nade mną oboje. Ponad ostrzami pazurów Komety, ponad dwoma ocienionymi twarzami rysowała się na fiołkoworóżowym niebie ciemna wstęga Mostu Brooklińskiego. Pod moją ścianką grzbietową czułem ciepło dłoni Jo. Jakaś chłodna kropelka opryskała moje przednie fasety i twarze obojga się rozmyły.

— Ależ... wszak to jest... Nie, to niepodobna. Gdzież to zyskałeś? Wzruszył ramionami.

— Zwyczajnie zem znalazł. Myślisz, że co to jest?

— Na światło siedmiu słońc, toż to wygląda kropla w kroplę jak skryształizowany Trytowianin.

Oczywiście miała rację i od razu zrozumiałem, że mam do czynienia z nie byle jaką kosmenką. W formie krystalicznej my, Trytowianie, nie występujemy znowu aż tak powszechnie.

— Muszę go zabrać do Gwiazdy Imperium.

Charona pogрузyła się w myślach za pomarszczoną maską twarzy, a moje alikwoty mówiły mi, że są to myśli wielodrożne, pełne obrazów przestrzeni kosmicznej i gwiazd widzianych w czerni galaktycznej nocy, niesamowitych krajobrazów nie znanych nawet mnie samemu. Czterysta lat pracy

w charakterze dozorczyń bramy strefy przewozowej na Rhysie wygładziły umysł Charony do stanu bliskiego rozdrożnemu. Ale wielodrożność zbudziła się ze snu.

— Popróbiję cię objaśnić, Kometo. Powiedz mi, co takiego jest najważniejszą rzeczą na świecie?

— Gurga — odpowiedział błyskawicznie Jo i zobaczył grymas na twarzy Charony. Stropił się. — Znaczy się pliazyl. Nie chciałem mówić żadnych brzydkich słów.

— Nie o słowa się kłopotuję, Kometo. W gruncie rzeczy zawsze krzyknę mnie weseliło, że lud twój używa jakiegoś „brzydkiego słowa” na oznaczenie pliazylu. Choć z drugiej strony, może to i nie takie pocieszne, kiedy sięgnę pamięcią do „brzydkich słów” z mojej ojczystej planety. Tam gdzie dorastała, słowo „woda” było nieprzystojnym — okrutnie jej było mało i nikt nie ważył się o niej mówić inaczej, niż wypowiadając jej wzór chemiczny w trakcie naukowego dyskursu, a i to nigdy w przytomności nauczyciela. Na Ziemi zaś, w czasach prapradziada naszego, strawy zjedzonej i wydalonej z ciała nie można było w towarzystwie nazywać potocznym określeniem.

— Ale co jest brzydkiego w żarciu i w wodzie?

— A co jest brzydkiego w gurdze?

Jo zaskoczyło użycie przez Charonę pospolitego slangu. No ale przecież Charona stale przestawała z kierowcami ciężarówek i ładowaczami, którzy znani byli ze sprośnego języka i dla niczego nie mieli szacunku, jak powiadał wuj Klemens.

— No nie wiem.

— To organiczny plastik rosnący w kwiecie zmutowanej odmiany zboża, jaka rozkwita w mroku grot pod wpływem promieniowania z serca Rhysa dochodzącego. Nikomu na tej planecie na nic się on zdaje, prócz wzmacniania stopu innych tworzyw sztucznych, wszelako jest spełnieniem jedyne go celu Rhysa w planach wszechświata: opatrywania całej reszty galaktyki. Istnieją bowiem miejsca, gdzie jest potrzebny. Wszyscy mężowie i niewiasty na Rhysie pracują przy jego produkcji, przetwarzaniu albo też transporcie. Ot i wszystko. W argumencie moim ani razu nie wspomniałam o niczym „brzydkim”

— No ale jak się jakaś torba rozedrze i wszystko się rozsypie, to wygląda jakby... no, nie wygląda brzydko, ale nieporządnie.

— Toż i rozlana woda albo strawa wyglądają nieporządnie. Ale nie leży to w ich naturze.

— Tylko że o niektórych rzeczach nie trzeba gadać przy ludziach. Tak mówi wuj Klem. — Jo w końcu uciekł się do swojego wychowania. — No więc, jak żem powiedział, gurga to najważniejsza rzecz na świecie i trzeba mieć dla niej... no, trochę szacunku.

— Nie jam to rzekła. Ty rzekłeś. I dlatego to właśnie umysł masz rozdrożny. Jeśli przekroczysz drugą bramę i ubłagasz kapitana jakowegoś transportu, aby cię zabrał — na co zapewne się zgodzi, wszak ludzie to zacni — znajdziesz się w innym świecie, gdzie pliazyl oznacza tylko czterdzieści kredytek za tonę i jest o całe niebo mniej ważny niż dernia, piblokoby, pudłokłapy czy chłopiesz, z których wszystkie osiągają cenę ponad pięćdziesiąt kredytek. Atoli, wykrzyknąwszy miano któregokolwiek z nich, mógłbyś zostać wzięty jedynie za awanturnika.

— Nic nie będę krzyczał — zapewnił Kometa Jo. — Z twojej gadaniny o „rozdrożnym” kapuję tylko tyle, jak się ładnie zachowywać, choć wielu innych tego nie wie. Bynajmniej tyle wiem, nawet jeśli nie jestem taki grzeczny, jak żem powinien.

Charona roześmiała się. 3-Pies powrócił do niej biegiem i otarł się głową o jej biodro.

— Być może powiedzie mi się objaśnić ci to w czysto metaforyczny sposób, choć z bólem serca zdaję sobie sprawę, że nie pojdziesz niczego, póki tego na własnej skórze nie doświadczysz. Stań i spójrz w górę.

Zatrzymali się wśród rumowiska kamieni i podnieśli głowy.

— Widzisz te dziury? — zapytała Cheroną. W płytach tworzących most tu i ówdzie widniały punkciki światła.

— Wyglądają jak całkiem przez przypadek rozrzucone kropki, zali nie tak? Jo przytaknęła.

— To jest rozdrożny punkt widzenia. A teraz pocznij iść, ale patrz dalej.

Kometa ruszył pewnym krokiem, gapiąc się w górę. Świetlne punkciki znikwały, a tu i tam pojawiały się nowe, po czym te też gasły i rozjarzały się jeszcze inne, a może te, co na początku.

— Nad mostem wznosi się konstrukcja dźwigarów, która zakrywa część tych otworów i nie pozwala ci dojrzeć wszystkich ich naraz. Atoli uzyskujesz teraz spojrzenie parodrożne, bo pojmujesz, że oto istnieje coś więcej niżli to, co dostrzec możesz z dowolnego jednego miejsca. Teraz bieżyć pocznij, ale wzroku nie opuszczaj.

Jo ruszył biegiem po skałach. Prędkość migotania wzrosła, i nagle dostrzegł, że otwory układają się w pewien wzór — sześcioramienne gwiazdy przecięte ukośnymi liniami złożonymi z siedmiu otworów. Można było zauważyć ten wzór dopiero, kiedy migotanie następowało tak szybko...

Jo potknął się i ześliznął na ręce i kolana.

— Ujrzałeś wzór?

— Eee... mhm. — Potrząsnął głową. Mimo rękawic piekły go dłonie, a na kolanie miał zdartą skórę.

— To było spojrzenie wielodrożne. 3-Pies pochylał łeb i polizął Jo po twarzy. Dik patrzył na to z pewną pogardą z rozwidlenia krzewu trójzębnika.

— Zetknąłeś się właśnie z jedną z podstawowych trudności, jakie napotyka umysł rozdrożny podczas prób ogarnięcia zjawiska wielodrożnego. Bardzo łatwo możesz rozciągnąć się jak długi na ziemi. Zaiste, nie wiem, czy uda ci się dokonać tego przejścia, choć młodyś, a przecie starsi od ciebie musieli byli rad tych usłuchać. Dalibóg, życzę ci szczęścia. Co prawda, przez kilka pierwszych etapów twej podróży możesz zawsze zawrócić z drogi; nawet mając za sobą tylko krótki skok do Mysiej Dziury, i tak zobaczyłbyś dużo więcej wszechświata niż siła ludzi na Rhysie. Wszelako im dalej dotrzesz, tym trudniej ci będzie powrócić.

Kometa Jo odepchnął 3-Psa i wstał. Jego następne pytanie wynikało tak z obawy przed całym przedsięwzięciem, jak i z bolących dłoni.

— Most Brookliński — powiedział, wciąż patrząc w górę. — Czemu wołają na to Most Brookliński? — Zapytał jak ktoś stawiający pytanie bez odpowiedzi i gdyby jego umysł pracował na tyle precyzyjnie, by wyartykułować prawdziwy sens pytania, brzmiałoby ono: „Czemu ta konstrukcja w ogóle tu tkwi i każe mi się przewracać?”

Ale Charona odpowiedziała:

— Na Ziemi istnieje konstrukcja podobna do tej, która dwie wyspy z sobą łączy — choć jest nieco mniejsza od tej tutaj. „Most” to miano takiej właśnie konstrukcji, a Brooklyn to miejsce, do którego ona wiedzie, stąd nazwano ją Mostem Brooklińskim. Pierwsi osadnicy przywieźli tę nazwę z sobą i nadali ją temu, co właśnie oglądasz.

— Znaczy się, jest w tym jakiś sens?

Charona przytaknęła.

Nagle zaświtał w głowie Jo pewien pomysł, skręcił gwałtownie w zaułek i wynurzył się z łomotem i brzękiem za uszami chłopca.

— Czy zobaczę Ziemię?

— Nie będzie to zbyt duże zejście z kursu — powiedziała Charona.

— I będę mógł widzieć Most Brookliński? — Obute stopy Jo już rwały się do biegu.

— Oglądałam go czterysta temu wiosen i wtedy jeszcze stał na swoim miejscu.

Kometa Jo naraz podskoczył w górę i spróbował uderzyć pięściami w niebo, co jako cudownie parodrożny akt podsycało we mnie nadzieję; potem pobiegł przed siebie, wskoczył na jeden z filarów mostu i popędził jakieś trzydzieści metrów w górę, rozpierany czystą energią.

W pół drogi na szczyt przystanął i spojrzał w dół.

— Hej, Charona! — zawołał. — Lecę na Ziemię! Ja, Kometa Jo, lecę na Ziemię zobaczyć Most Brookliński!

W dole pod nami dozorczyńni uśmiechnęła się i pogłaskała 3-Psa po głowie.

Kiedy przestał padać deszcz, wyszli spomiędzy podpór. Przeszli przez ogrodzenie i ruszyli po szerniałym od wody asfalcie w kierunku drugiej bramy.

— Jesteśli pewien? — raz jeszcze spytała Charona. Z pewną dozą czujności kiwnął głową.

— A co mam rzec wujowi twemu, kiedy przyjdzie mnie wypytać, co z pewnością uczyni?

Na wspomnienie wuja Klemensa czujność uległa zaostrzeniu.

— Po prostu powiedz, że se poszłem. Charona skinęła głową, pociągnęła za drugą dźwignię, i brama się podniosła.

— Czyżbyś i jego wziąć z sobą zamierzał? — Charona wskazała Dika.

— Jasne. Czemu nie? — I z tymi słowami ruszył śmiało przed siebie. Dik popatrzył w prawo, w lewo, a potem pobiegł za nim. Charona także dołączyłaby do chłopca, gdyby nie sygnalizator świetlny, który dał jej znać, że musi stawić się przy pierwszej bramie. Mogła więc tylko odprowadzać Jo wzrokiem, kiedy brama opuszczała się w dół. Potem zawróciła na drogę wiodącą przez most.

Wcześniej Kometa Jo jedynie patrzył przez drugą bramę na bulwiaste sylwetki statków, na budynki załadunkowe, na mechaniczne ładowarki i sanie kursujące ścieżkami Strefy Przewozowej. Kiedy przekroczył bramę, rozejrzał się wokół, oczekując, że świat stanie się zupełnie inny, zgodnie z ostrzeżeniem Charony. Ale jego pojęcie inności było raczej rozdrożne, tak więc rozczarowało go przejście pierwszych pięciu metrów.

Kolejne pięć metrów i rozczarowanie zastąpiła zwykła ciekawość. W jego stronę sunęły talerzowe sanie, prowadzone pewnie w dół osuwiska przez jakąś wysoką postać. W nagłym porywie strachu i zdumienia Jo zdał sobie sprawę, że spodek pędzi wprost na niego. W chwilę później pojazd się zatrzymał.

Stojąca w nim kobieta — rozpoznanie w niej kobiety zajęło mu dobrą chwilę, bo jej włosy były długie jak u mężczyzny i ułożone kunsztowniej niż wszystkie, jakie widział w życiu — miała na sobie połyskliwą czerwoną suknię, której fałdy, z rozmaitych tkanin (ale jednakowej barwy), na przemian spowijały ją i powiewały w wilgotnym wietrze świtu. Zorientował się, że kobieta ma czerwone włosy i paznokcie. Było to co najmniej dziwne. Popatrzyła na niego z góry i powiedziała: f.

— Śliczny z ciebie chłopiec.

— Że co? — zdziwił się Kometa.

— Powiedziałam, że śliczny z ciebie chłopiec.

— O gurga, znaczy się... tego... — Potem przestał oglądać swoje stopy i z powrotem zagapił się na kobietę. •

— Ale włosy masz w okropnym stanie. Jo zmarszczył brwi.

— Co niby pani chce od moich włosów?

— Myślę o nich dokładnie to, co powiedziałam. Ale gdzie ty się uczyłeś interlingu? A może tylko odbieram mglisty ekwiwalent telepatyczny twoich wypowiedzi słownych?

— Że co?

— Nieważne. Mimo wszystko śliczny z ciebie chłopiec. Dam ci grzebień; dam ci też kilka lekcji poprawnej wymowy. Przyjdź do mnie, jak już będziesz na statku — polecisz moim statkiem, bo żaden inny w najbliższym czasie nie odlatuje. Pytaj o San Severinę.

Dysk obrócił się, by pomknąć dalej.

— Hej, a gdzie pani leci?! — krzyknął Kometa Jo.

— Uczesz najpierw włosy, a o tamtym porozmawiamy podczas lekcji. — Wyjęła coś spomiędzy fałdów sukni i rzuciła w jego stronę.

Złapał ów przmiot i przyjrzał mu się. Był to czerwony grzebień.

Przeciągnął kłęb włosów przez ramię w celu dokładniejszej inspekcji. Włosy były skołtunione wskutek nocnej wędrówki do Strefy Przewozowej. Uderzył w nie kilka razy w nadziei, że grzebień jest jakimś specjalnym rodzajem grzebienia, który ułatwi mu ich rozplatanie. Ale nie był. Czesanie zabrało mu więc parę ładnych minut, a chcąc w przyszłości uniknąć tak ciężkiej próby, gdy skończył, zręcznie zaplótł włosy w warkocz wzdłuż ramienia. Potem włożył grzebień do sakwy i wyjął okarynę.

Mijał właśnie stos ładunku, kiedy zauważył usadowionego na górze pudeł starszego o kilka lat chłopaka, który gapił się na niego, obejmując rękami kolana. Chłopak nie miał butów ani koszuli, a postrzępione spodnie przytrzymał na nim kawałek sznurka. Jego włosy miały długość niewybrednie bezpłciową i były znacznie bardziej skołtunione niż do niedawna włosy Jo. Był bardzo brudny, ale szczerzył zęby w uśmiechu.

— Hej! — odezwał się Jo. — Może wiesz, kogo mam się pytać, żeby się z nim stąd zabrać?

— O tantn acyt — odparł chłopak, wskazując na drugą stronę pola startowego — koo gurgi y
LII.

Jo zrobiło się trochę głupio, że jedynym słowem, jakie zrozumiał w tej wypowiedzi, było przekleństwo.

— Chcę się stąd z kimś zabrać — powtórzył.

— O tantn acyt — powiedział chłopak i jeszcze raz coś pokazał. Potem przyłożył ręce do ust, jakby on też grał na okarynie.

— Chcesz spróbować? — zapytał Jo i zaraz pożałował, bo tamten był taki brudny. Ale chłopak z uśmiechem potrząsnął głową.

— Ja żem ino kosmoluch. Się nie wyznawam po muzykie.

Może tkwił w tym jakiś połowiczny sens, może.

— Skąd jesteś? — spytał Jo.

— Ja żem ino kosmoluch — powtórzył chłopak. Tym razem wskazał na różowy księżycoksiężyc wznoszący się nad horyzontem. — Fte i wefte, fte i wefte, nidy nidzie dalij. — Uśmiechnął się znowu.

— Aha — powiedział Jo i też się uśmiechnął, bo nic lepszego nie przychodziło mu do głowy. Nie był pewien, czy dzięki tej rozmowie uzyskał jakieś nowe informacje czy też nie. Podjął ponownie grę na okarynie i szedł dalej.

Tym razem poszedł prosto w stronę statku; ładowany był tylko jeden, więc skierował się właśnie ku niemu.

Jakiś muskularny mężczyzna nadzorował pracę roboładowarek, odhaczając towary ze spisu. Miał na sobie usmarowaną, wciąż jeszcze wilgotną od deszczu koszulę zawiązaną na węzeł, wokół którego górą i dołem rozlewało się owłosione, wydęte brzuszysko.

Oparty o stalową linę cumowniczą, która biegła od statku, stał chłopak, ten już w wieku bliższym wiekowi Jo. Podobnie jak jego poprzednik nie miał butów, koszuli ani czystej skóry. Jedna

nogawka jego spodni była krótsza wskutek oddarcia u kolana, a klamry paska łączył z sobą skręcony kawałek drutu. Ogorzała twarz nie wyrażała, w przeciwieństwie do twarzy pierwszego chłopaka, nawet gotowości do uśmiechu. Chłopak odchylił się i okręcił powoli wokół cumy, obserwując Jo, kiedy ten go mijał.

Jo chciał podejść do olbrzyma czuwającego nad załadunkiem, ale właśnie wtedy uwagę tamtego zaprzętnęło porządkowanie sterty źle ustawionej przez jedną z ładowarek, więc Jo cofnął się. Popatrzył powtórnie na chłopaka, uśmiechnął się nieznacznie i skinął głową. Nie miał specjalnej ochoty wdawać się w rozmowę, ale chłopak odpowiedział mu krótkim ruchem głowy i wyglądało na to, że mężczyzna będzie zajęty jeszcze przez jakiś czas.

— Jesteś kosmoluch? — spytał Jo. Chłopak przytaknął.

— I latasz w tę i we w tę? — zapytał Jo, wskazując na tarczę księżycoksiężyca. Chłopak ponownie przytaknął.

— Jest jaka szansa, żeby załapać się stąd okazją do... no, gdzie bądź?

— Szansa jest, jeżeli tylko zechcesz popracować — odparł chłopak. Kometę zaskoczył jego akcent.

— Jasne — odpowiedział. — Jak trzeba robić, to nie mam nic naprzeciwno.

Chłopak podciągnął się na przewodzie cumowniczym do pozycji pionowej.

— Hej, Elmer! — zawołał. Mężczyzna obejrzał się, a potem pstryknął wyłącznikiem bransolety opinającej mu nadgarstek, i wszystkie roboładowarki stanęły. „Jakie to proste” — pomyślał Jo.

— Cóż tam? — zapytał Elmer, odwracając się i ocierając pot z czoła.

— Mamy drugiego kosmolucha. Ten dzieciak szuka pracy.

— Zgoda — rzekł Elmer. — Ty zatem pieczę nad nim przejmiesz. Wygląd ma urodziwy, a jadłem go jeno uracz i obaczysz, niechybnie pracę polubi. — Uśmiechnął się szeroko i odwrócił do roboładowarek.

— Jesteś przyjęty — powiedział chłopak.

— Na imię mi Roń.

— Ja jestem Jo — powiedział Jo. — Mówią na mnie Kometka Jo.

Roń roześmiał się w głos i potrząsnął dłonią Jo.

— Nigdy tego nie zrozumiem. Od sześciu miesięcy rozbijam się po pływach stasis i wszyscy prawdziwi, wytrawni kosmeni, jakich się spotyka, mają na imię Bob, Hank albo Elmer. Ale kiedy tylko trafiam na jakąś planetę z ciemną stroną, na jakąś rozdrożną kulturę jednego produktu, od razu wszyscy nazywają się Księżycowy Bili albo Kosmiczny Smith, albo Kometka Jo. — Klepnął Jo po ramieniu. — Bez urazy, ale zaprawdę, wierzaj mi, rychło „kometę” swą utracisz.

Jo nie poczuł urazy — głównie dlatego, że nie był pewien, o czym Roń mówi — i zamiast tego uśmiechnął się.

— Skąd jesteś?

— Wziąłem rok urlopu z Uniwersytetu Centauri, żeby poskakać sobie tu i tam między gwiazdami, trochę przy tym pracując, kiedy trzeba. Kosmoluchuję w tej ćwiartce spirali już od kilku miesięcy. Zauważyłeś, że Elmer nauczył mnie mówić zupełnie po kosmeńsku?

— A ten gość, co siedzi tam z tyłu? On też z... uniwersytetu?

— Hank? Ten bezdrożny dzieciuch z ciemnej strony, który siedział na pudłach? — zaśmiał się Roń.

— Bezdrożny? — zdziwił się Jo. Połączył to słowo z innymi, które już poznał tego ranka. — Aha, to tak jak rozdrożny, parodrożny i tak dalej.

Roń najwyraźniej zrozumiał, że wątpliwość była poważnej natury.

— Tak naprawdę to nie istnieje nic, co byłoby bezdrożne. Ale czasami człowiek się zastanawia. Hank tylko smoluchuje między Rhysem i księżycoksiężcem. Jego starzy są biedni i nie sędzę, żeby umiał choćby czytać i pisać własne imię. Większość kosmoluchów wywodzi się, co sam wnet, wierzaj mi, dostrzeżesz, z podobnego środowiska. Mają swój jeden stały kurs, najczęściej między dwiema planetami, i to wszystko, co oglądają w życiu. Ale i ja też sobie kosmostopuję. Chcę zrobić stopień mata przed końcem Półobrotu, tak bym mógł wrócić na uczelnię z jakimiś pieniędzmi, gdzieś jednak początek trza poczynić. Daleko się wybierasz?

— Do Gwiazdy Imperium — powiedział Jo. — 'A wiesz gdzie... znaczy się... zali pojmujesz, gdzie to jest?

— Próbujesz już podłapać kosmeński akcent, co? — zauważył Roń. — Nie przejmuj się, przesiąkniesz nim tak szybko, że nawet nie zauważysz. Gwiazda Imperium? To chyba jakiś siedemdziesiąty — siedemdziesiąty piąty stopień wokół środka galaktyki.

— Siedemdziesiąty drugi stopień, w odległości 55.9 — powiedział Jo.

— Więc po co pytasz? — zdziwił się Roń.

— Bo to mi nic nie mówi. Roń znowu się zaśmiał.

— Ach, pojmuję. Zaliś nigdy w kosmosie nie bywał?

Jo potrząsnął głową.

— Pojmuję — powtórzył Roń, a jego śmiech przybrał na sile. — Cóż, wkrótce będzie ci to coś mówić. Wierzaj mi, będzie! — Wtem Roń zobaczył Dika. — Twój?

Jo kiwnął głową.

— Mogę wziąć go z sobą, nie?

— Elmer jest kapitanem. Jego zapytaj.

Jo spojrzał na kapitana, który wściekle doprowadzał do stanu równowagi stertę towarów na ładowni.

— Dobra — powiedział i ruszył w jego stronę. — Hej, El...

Roń chwycił go za ramię, i Jo okręcił się na pięcie.

— O gurga, co jest?!

— Nie teraz, ty tłuku bezdrożny! Poczekaj, aż skończy.

— Ale ty sam przecież...

— Ja to nie ty — odparł Roń — a Elmer nie próbował równać ładunku, kiedy go zawołałem. Kiedy wołasz go po imieniu, zawsze się zatrzymuje, więc mogłeś go zabić, gdyby ten stos się przewrócił.

— Aha. No to jak mam go wołać?

— Spróbuj „panie kapitanie” — powiedział Roń. — Jest przecież kapitanem, a kiedy wola się na niego w ten sposób, nie musi odrywać się od pracy, jeśli nie chce. Po imieniu wołaj tylko w razie nagłego wypadku. — Popatrzył spod oka na Jo. — Chociaż wiesz co, pozwól innym decydować o tym, co stanowi nagły wypadek. Dla ciebie to jest pan kapitan, dopóki on sam nie powie ci, że masz nazywać go inaczej.

— A jak tyś go zawołał, to też był nagły wypadek?

— Potrzebował jeszcze jednego kosmolucha na ten kurs, a poza tym widziałem, że nie robi nic, czego nie mógłby przerwać, więc... no wiesz, musisz się jeszcze po prostu dużo nauczyć.

Jo był tym przybity.

— Głowa do góry — powiedział Roń. — Nieźle ci idzie na tej tu piskodujce. Mam w środku gitarę... wyciągnę i coś sobie razem zagramy, chcesz?

Chwycił linę cumowniczą i zaczął wspinać się po niej ręka za ręką. Zniknął w otwartym u góry

włazie. Jo patrzył za nim szeroko otwartymi oczami. Roń nie nosił nawet rękawic.

Wtedy do Jo odezwał się kapitan Elmer:

— Hej, kociaka przyzwalam ci zabrać, wszelako trza ci ostawić te rękawice i trzewiki.

— Co?! Czemu?

— Bo ja tako rzekę. Roń? Kosmoluch wyjrzał z luku.

— Słucham? — W rękę trzymał gitarę.

— Objaśnij go co do zakazanych tworów kulturowych.

— Dobra — powiedział Roń i używając stóp i jednej ręki, ześliznął się po linie cumowniczej.

— Lepiej je zaraz zrzucić.

Jo zaczął niechętnie zdzierać buty i rękawice.

— Widzisz, będziemy trafiać do wielu parodroźnych kultur, o świadomości technicznej znacznie niższej od tej, która wytworzyła te buty. Gdyby się do nich dostały, mogłyby całkowicie zdeorganizować którąś z nich.

— Myśmy nie umieli robić takich butów — powiedział Jo — a Charona i tak mi je dała.

— To dlatego, że wy tutaj jesteście rozdrożni. Nic nie naruszyłoby waszej kultury, może poza przeniesieniem jej w inne środowisko. A nawet wtedy wasza kultura wyjściowa pewnie nie różniłaby się od tej. Ale kultury parodrożne są drażliwe. Lecimy na Genesis z ładunkiem gurgi. Potem LII polecą na Mysią Dziurę. Chyba mógłbyś załapać się stamtąd okazją na Ziemię, gdybyś chciał. Chcesz pewnie zobaczyć Ziemię. Wszyscy chcą.

Jo kiwnął głową.

— Aż Ziemi możesz dostać się wszędzie. Może nawet uda ci się zabrać z kimś wprost do Gwiazdy Imperium. Po co musisz się tam dostać?

— Wiozę wiadomość.

— Ach, tak? — Roń zaczął stroić gitarę.

Jo otworzył sakwę i wyjął mnie z niej; pomyślałem, że właściwie byłbym mu wdzięczny, gdyby nie łąził tak, pokazując mnie wszystkim naokoło. Byli tacy, którzy chybaby się zdenerwowali, gdybym się im pokazał — skryzalizowany czy nie.

— To — powiedział Jo. — To tam muszę zawieźć. Roń przyjrzał mi się uważnie.

— Ach, więc to tak. — Odłożył gitarę. — A zatem to chyba dobrze, że lecisz razem z transportem LII.

Uśmiechnąłem się do siebie. Roń był wielodroźnie wykształconym młodzieńcem. Wolałem nawet sobie nie wyobrażać, co by się stało, gdyby Jo pokazał mnie Rankowi; kosmoluch pewnie próbowałby namówić go do przehandlowania mnie za to czy za tamto, co miałoby katastrofalne następstwa.

— Co to jest LII? — zapytał Jo. — Czy to coś z tych rzeczy, które są ważniejsze niż gurga?

— O rany, jasne — odparł Roń. — Nigdy żadnego nie widziałeś, prawda? Jo pokręcił głową.

— No, to chodź — powiedział Roń. — Pogramy sobie później. Zasuway na górę do luku, ale wyrzucić te buty i rękawice.

Jo zostawił je na asfalcie i zaczął wspinać się po cumie. Poszło mu łatwiej, niż przewidywał, ale u szczytu lał się z niego pot. Dik po prostu wspiął się po kadłubie statku na swoich miseczkowato wklęsłych łapach i czekał już na Jo w luku.

Roń poprowadził Jo przez korytarz, przez jeszcze jeden luk i w dół po krótkiej drabince.

— LII są tutaj — powiedział, stając przed okrągłymi drzwiami. Wciąż jeszcze trzymał gitarę za gryf. Pchnięciem otworzył drzwi, i nagle coś chwyciło Jo za żołądek i mocno ścisnęło. W oczach stanęły mu łzy, otworzył usta. Jego oddech raptem bardzo się wydłużył.

— Zdrowo cię walnęło, prawda? — powiedział Roń cichym głosem. — Wejźmy do środka.

Jo bał się, a kiedy wstępował w półmrok, serce z każdym krokiem opadało mu coraz bardziej w piętę. Zamrugał, chcąc lepiej widzieć, ale łzy powróciły.

— To są LII — powiedział Roń.

Jo ujrzał łzy na jego ogorzałej twarzy. Potem znów zwrócił wzrok przed siebie.

Byli przykuci do podłogi za przeguby rąk i nóg; Jo doliczył się siedmiu. Mrużyli wielkie zielone oczy w błękitnym świetle ładowni. Plecy mieli zgarbione, głowy zarośnięte kudłami. Ich ciała sprawiały wrażenie niezmiernie silnych.

— Co ja... — zaczął Jo, ale coś chwyciło go za gardło i głos mu zaskrzeczał. — Co ja czuję? — wyszeptał; nie był w stanie powiedzieć tego głośniej.

— Smutek — odparł Roń. I, raz nazwane, uczucie to stało się łatwe do rozpoznania — rozległy, wszechogarniający smutek, wysysający wszelką zdolność ruchu z jego mięśni, wszelką radość z jego oczu.

— To przez nich jest mi... smutno? — zapytał Jo. — Dlaczego?

— Są niewolnikami — odrzekł Roń. — Budowniczymi; budują wspaniale, cudownie. Są niezwykle cenni. Wybudowali ponad połowę Imperium. A w ten sposób Imperium ich zabezpiecza.

— Zabezpiecza?

— Nie można zbliżyć się do nich nie odczuwając tego, co my czujemy teraz.

— No to kto ich kupuje?

— Niewiele osób. Ale wystarczająco wiele, i dlatego są niewiarygodnie cennym żywym towarem.

— Czemu nikt ich nie wypuści? — spytał Jo i w pół zdania jego słowa zmieniły się w szloch.

— Względy ekonomiczne — powiedział Roń.

— Kto może myśleć o względach ekonomicznych, czując coś takiego?!

— Niewiele osób. To właśnie jest zabezpieczeniem LII. Jo potarł oczy pięścią.

— Zjeżdżajmy stąd.

— Zostańmy jeszcze chwilę — odparł Roń. — Zagramy teraz dla nich. — Przysiadł na skrzynce, oparł na kolanach gitarę i wydobył z niej modalny akord. — Graj — powiedział. — Będę ci przygrywał.

Jo zaczął dąć, ale oddech miał tak słaby, że dźwięk zadrżał i urwał się w pół tonu.

— Nie... nie chcę — zaprotestował.

— To twoja praca, kosmoluchu — powiedział po prostu Roń. — Trzeba troszczyć się o ładunek od chwili, gdy znajdzie się na pokładzie. Lubią muzykę i odnajdą w niej radość.

— A ja... znajdę w niej radość? — spytał Jo. Roń potrząsnął głową.

— Nie.

Jo podniósł okarynę do ust, wciągnął w płuca powietrze i zadał. Rozwlekłe tony wypełniły ładownię statku, a kiedy Jo zamknął oczy, ciemność rozpuściła mu się we łzach pod jego powiekami. Wokół melodii, którą wywabiał z okaryny, snuło się obbligato Rona. Każda nuta nabierała zapachu przenikliwego jak woń perfum, przywołując w duszy Jo — kiedy tak grał z zaciśniętymi, pełnymi łez oczami — Nowy Cykl, podczas którego pliazyl nie obrodził; pogrzeb Billy'ego Jamesa; dzień, w którym Lilly śmiała się z niego, gdy próbował skraść jej całusa przy elektrycznym ogrodzeniu za generatorem; chwilę, kiedy zważono zabite kopardy i okazało się, że jego był o pięć kilogramów lżejszy niż Yla Odika — a Yl był od niego młodszy o trzy lata i wszyscy nieustannie powtarzali, jaki on jest wspaniały — jednym słowem, wszelkie smutne, bolesne wspomnienia jego rozdrożnej egzystencji.

Kiedy pół godziny później opuścili ładownię i przygnębienie spłynęło z nich jak fala odpływu w momencie, gdy Roń zamknął właz luku, Jo czuł się wyczerpany i drżał na całym ciele.

— Ciężka robota, co? — powiedział Roń z uśmiechem. Ślady łez tworzyły smugi na jego zakurzonej twarzy.

Jo nie odpowiedział, próbując jedynie powstrzymać się od wybuchu szloch, jakim wzbierała nostalgia wciąż jeszcze ściskająca go w gardle. „Zawsze możesz obrócić się na pięcie i wrócić do domu” — mówiła Charona. Już prawie zaczął się obracać. Ale z głośników rozległ się głos:

— Bardzo proszę, aby Śliczny Chłopiec przybył na swoją lekcję interlingu.

— To San Severina — rzekł Roń. — Nasz jedyny pasażer. To do niej należą LII.

W głowie Jo zakłębiła się nagle cała masa emocji, wśród których przeważały wściekłość, strach i ciekawość. Ciekawość zwyciężyła.

— Jej kajuta jest tam wyżej, zaraz za rogiem — powiedział Roń.

Jo ruszył. Jak ona w ogóle mogła posiadać te niesamowite stworzenia?

— To poważne osiągnięcie — powiedziała San Severina, kiedy Jo otworzył drzwi. — Zastanawiasz się, jak ja w ogóle mogę posiadać te niesamowite stworzenia.

Siedziała w ozdobnej fotelobańce, odziana w błękit od szyi aż po kostki nóg. Błękitne były jej włosy, jej usta, jej paznokcie.

— Nie jest to łatwe — powiedziała. Jo wszedł do środka. Jedną ze ścian pokrywały zapchane książkami półki.

— Ty przynajmniej — ciągnęła San Severina — czujesz to jedynie wtedy, kiedy jesteś przy nich. Ja, jako właścicielka, podlegam temu wrażeniu przez cały okres trwania mego prawa własności. To należy do umowy.

— A teraz... też to pani czuje?

— Dużo intensywniej, jak sądzę, niż ty w tamtej chwili. Pasma wrażliwości mam znacznie szersze od twojego.

— Ale... dlaczego?

— Nic nie można na to poradzić. Mam do odbudowania osiem planet, pięćdziesiąt dwie cywilizacje i trzydzieści dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt siedem kompletnych, odrębnych systemów etycznych. Nie uda mi się to bez LII. Trzy z tych ośmiu planet są spalone na węgiel, a na ich powierzchni nie ma nawet kropli wody. Jedna jest w połowie wulkaniczna i jej skorupa musi zostać całkowicie przeformowana. Inna straciła dużą część atmosfery. Pozostałe trzy przynajmniej nadają się do zamieszkania.

— Ale co się stało? — Jo nie mógł w to uwierzyć.

— Wojna — odpowiedziała San Severina. — A wojny są dziś o wiele bardziej niszczycielskie niż choćby tysiąc lat temu. Populacja rzędu sześćdziesięciu ośmiu miliardów pięciuset tysięcy dwustu pięciu zredukowana do dwudziestu siedmiu osób. Nie mogliśmy zrobić nic poza zebraniem majątku, jaki nam jeszcze pozostał, i uzgodnieniem, że kupimy LII. Teraz wiozę ich z powrotem, transferem przez Ziemię.

— LII — powtórzył Jo. — Czym oni są?

— Czy nie pytałeś o to tego chłopca?

— No taaak, ale...

Przerwał mu uśmiech San Severiny.

— Ach, oto i załączki parodroźności. Otrzymałszy jedną odpowiedź, prosisz o inną. Bardzo dobrze. Dam ci inną odpowiedź. LII są hańbą i tragedią wielodroźnego wszechświata. Dopóki żyją w niewoli, nikt nie może żyć w wolności. Dopóki kupuje się ich i sprzedaje, każdy człowiek może być

kupiony i sprzedany — jeśli tylko cena jest odpowiednio wysoka. Ale teraz chodź, pora na twoją lekcję interlingu. Możesz mi podać tamtą książkę?

W oszołomieniu, niemniej posłusznie, Jo przyniósł książkę z biurka.

— A niby czemu mam się uczyć ładnie gadać? — spytał, podając podręcznik San Severinie.

— Żeby inni mogli cię rozumieć. Masz przed sobą długą podróż, pod koniec której będziesz musiał wypowiedzieć wiadomość, bardzo dokładnie i wyraźnie. Byłoby katastrofą, gdyby cię źle zrozumiano.

— Toż ja nawet nie kapuję, co to za wiadomość! — krzyknął Jo.

— Zrozumiesz, zanim ją dostarczysz — odrzekła San Severina. — Ale teraz lepiej weź się do roboty.

Jo popatrzył na książkę z obawą.

— A może jest coś, z czym bym wykuł to wszystko na blachę tak w try miga? Coś niby przez sen albo, tego... hipnotycznie? — Przypomniawszy sobie swoje rozczarowanie grzebieniem.

— Nie mam teraz przy sobie nic takiego — powiedziała smutno San Severina. — Myślałam, że ten drugi chłopiec ci wyjaśnił. Będziemy mijać trochę dość prymitywnie parodrożynych społeczeństw. Żadnych zakazanych twoprów kulturowych. Obawiam się, że będziesz ^musiał użyć tej trudniejszej metody.

— Gurga — zaklął Jo. — Chcę do domu.

— Proszę bardzo. Ale będziesz musiał złapać kurs w drogę powrotną na Mysiej Dziurze. Jesteśmy już o dwieście czterdzieści sześć tysięcy kilometrów od Rhysa.

— Że co?!

San Severina wstała i podniosła żaluzje zasłaniające jedną ze ścian. Za szybą były: mrok, gwiazdy i czerwony okrąg Ceti.

Kometa Jo stał z otwartymi ustami.

— Kiedy tak czekasz, moglibyśmy trochę się pouczyć. Krąg Ceti stawał się coraz mniejszy.

Praca na statku była niewątpliwie równie łatwa, jak dogłądanie podziemnych upraw pliazylu. Nie licząc LII, przebiegała stosunkowo miło, gdy już raz weszło się w jej rytm. Inteligencja i wdzięk San Severiny czyniły lekcje wymowy szczytowym punktem programu dnia, który i bez tego byłby dość przyjemny. Pewnego razu podczas lekcji, na której Jo uparcie odmawiał posłuszeństwa i żądał podania jeszcze jednego powodu, dla którego musi uczyć się interlingu, San Severina zaskoczyła dość mocno tak jego, jak i mnie mówiąc:

— Poza tym pomyśl tylko, jak bardzo ten niezręczny język będzie męczyć twoich czytelników.

— Moich kogo? — Jo oduczył się, z trudem, zaczynania pytań od „że co”.

— Podjąłeś się wypełnienia zadania wielkiej wagi i jestem pewna, że ktoś je kiedyś opisze. Jeśli nie poprawisz wymowy, przed pięćdziesiątą stroną stracisz wszystkich swoich odbiorców. Radzę ci, żebyś solidnie wzięł się do pracy, bo czeka cię sporo interesujących chwil, i byłoby raczej przykro, gdyby wszyscy porzucili cię w połowie drogi z powodu straszliwej gramatyki twoich zdań.

Jej Książęca Wielodrożność San Severina doprawdy wyjęła mi to z ust.

Cztery dni później Jo przyglądał się Elmerowi, kiedy ten siedział sobie, pogwizdując, przy iluminatorze w sekcji technicznej. Gdy już przekonał się (dokładnie), że kapitana nie zaprzęta nic, czego przerwanie miałyby śmiertelne następstwa, założył ręce do tyłu i powiedział:

— Elmer...

Elmer rozejrzył się.

— Tak? O cóż chodzi?

— Elmer, jak to jest, że wszyscy na tym statku więcej wiedzą o tym, co ja tu robię, niż ja sam?

— Wszak robią to znacznie dłużej od ciebie.

— Nie chodzi mi o pracę. Chodzi mi o moją podróż, całą tę wiadomość i tak dalej.

— Ach, to. — Elmer wzruszył ramionami. — Rozdrożne, parodrożne i wielodrożne.

Jo przyzwyczał się już, że słowami tymi ciska się w niego w odpowiedzi na niemal wszystko, czego nie rozumie, ale tym razem odparł:

— Chcę innej odpowiedzi.

Kapitan pochylił się, opierając ręce na kolanach, potarł kciukiem nos i zmarszczył czoło.

— Słuchaj, wstępując na pokład, rzekłeś, że trza ci zawieźć do Gwiazdy Imperium postanie LII tyczące, my przeto...

— Chwileczkę, Elmer. Skąd wiesz, że ta wiadomość dotyczy LII?

Elmer zrobił zdziwioną minę.

— Czyż nie jest tak?

— Nie wiem — odpowiedział Jo.

— Aha — rzekł Elmer. — Cóż, ja za to wiem. Zaiste, wiadomość tyczy LII. W jaki sposób ich tyczy, będziesz musiał odkryć później, wszelako, wierzaj mi, tyczy ich. Dlatego też wprzód pokazał ci ich Roń, dlategoś też się San Severinie tak zajmujący wydał.

— Ale skąd wszyscy to wiedzą, kiedy ja nie wiem? — Jo znowu poczuł w gardle narastające rozdrażnienie.

— Lecisz wszak do Gwiazdy Imperium — jeszcze raz cierpliwie zaczął Elmer — a nikt inny, jeno Imperium ochrania LII.

Kometa Jo przytaknął.

— Imperium wielce trapi się o ich los, bo i powinno, jako i każdy z nas. Skryształizowanego Trytowianina z sobą niesiesz, a Trytowianie stoją na czele unii zdążającej do wyzwolenia LII. Pracują nad tym od blisko tysiąca lat. Jest tedy wielce możliwe, że wiadomość twoja LII właśnie tyczy.

— Aha. To ma jakiś sens. Ale czasem zdaje mi się, że San Severina wie o rzeczach, jakich nie mogła nigdy wiedzieć ani się domyślić.

Elmer skinął na Jo, by podszedł bliżej.

— Jeśli ktoś przeżył wojnę, która zmniejszyła liczbę sześćdziesięciu ośmiu miliardów ludzi do dwudziestu siedmiu osób, to zaiste musi wiedzieć wiele. I nieco głupio jest dziwować się, że taki ktoś pojmuje odrobinę więcej niż ty czy ja. To nie tylko głupio — to niebywale rozdrożnie. A teraz wracaj do pracy, kosmoluchu.

Zmuszony do przyznania, że w gruncie rzeczy było to niebywale rozdrożne, Jo zszedł na dół, by poprzerzucać chłopiesz i zrenedować piblokoby. Dopiero po kolacji miał ponownie grać dla LII.

Drugiego dnia po wylądowaniu na Mysiej Dziurze San Severina zabrała go na zakupy na rynek pod gołym niebem i kupiła mu konturowy płaszcz z czarnego aksamitu ze srebrnymi haftami, których wzór zmieniał się zależnie od ciśnienia światła, w jakim je oglądano. Potem zabrała go do salonu piękności. Wskutek podróży Jo lepił się od brudu jak każdy kosmoluch. Trzymając go delikatnie za ucho, San Severina przekazała go ubranemu w biały kitel właścicielowi salonu.

— Wyrychtować to — powiedziała.

— Na co? — zdziwił się właściciel.

— Po pierwsze, na Ziemię, po drugie, na długą podróż.

Kiedy z nim skończyli, nie miał już warkocza, miał za to przycięte paznokcie zamiast pazurów i od zębów aż po końce palców u nóg lśnił czystością.

— Jak teraz siebie znajdujesz? — zapytała San Severina, okrywając jego ramiona płaszczem.

Jo przebiegł palcami po swojej krótkiej żółtej czuprynie.

— Wyglądam jak dziewczyna. — Zmarszczył brwi. Potem przyjrzał się swoim paznokciom. — Mam tylko nadzieję, że nie wpadnę po drodze na jakiegoś koparda. — Znowu popatrzył w lustro. — Niemniej jednak płaszcz jest wspaniały.

Kiedy wyszli na zewnątrz, Dik spojrział tylko raz na Jo, zamrugał i tak się zdenerwował, że aż dostał czkawki od chichotania; trzeba go było odnieść do Strefy Przewozowej, drapiąc po brzuchu, póki się nie pozbierał.

— Szkoda, że będę teraz znów musiał cały się wybrudzić — powiedział Jo do San Severiny — ale robotę mam brudną.

San Severina roześmiała się.

— Rozkoszny rozdroźniaczku! Resztę drogi na Ziemię przebędziesz jako mój pupil.

— A co na to Roń i Elmer?

— Oni już wystartowali. LII zostali przeniesieni na inny statek. Jo zdziwił się, zasmucił, w końcu zastanowił.

— San Severino...

— Słucham.

— Dlaczego robi pani dla mnie to wszystko?

Pocałowała go w policzek i odtańczyła poza zasięg niemrawego machnięcia, które wykonały rogi Dika. Jo wciąż jeszcze drapał kociaka po brzuchu.

— Bo śliczny z ciebie chłopiec, i bardzo ważny.

— Aha — powiedział Jo.

— Rozumiesz?

— Nie. — Szli dalej w kierunku statku.

A w tydzień później stali razem na skalistym stoku, patrząc, jak stosunkowo niewielka tarcza słońca zachodzi za Most Brookliński. Cienki strumyczek wody pełzał po zeschniętym czarnym bloku na dnie rowu, który w przewodnikach wciąż jeszcze nosił nazwę East River. Za nimi szeptała dżungla, a w poprzek „rzeki” na pajęczynach z kabli słynny most zwieszał się ponad białymi piaskami Brooklynu.

— Jest mniejszy od tego w domu — odezwał się Jo. — Ale jest bardzo ładny.

— Mówisz tak, jakbyś był rozczarowany.

— Och, nie z powodu mostu.

— Czy dlatego, że muszę cię tu opuścić?

— No cóż... — Przerwał. — Chciałbym powiedzieć, że tak. Bo pewnie byłoby pani wtedy przyjemniej. Ale nie chcę kłamać.

— Prawda jest zawsze wielodrożna — rzekła San Severina — i musisz nauczyć się radzić sobie z wielodrożnością. O czym więc myślisz?

— Pamięta pani, jak mówiłem, że wszyscy do tej pory są dla mnie tacy mili? I jak pani powiedziała, żebym przestał liczyć na miłych ludzi, kiedy już stanę na Ziemi. Boję się tego.

— Powiedziałam również, że będzie tu coś, niekoniecznie ludzie, co będzie miłe.

— Ale „ludzie” oznacza wszystkie myślące istoty z dowolnego układu planetarnego obdarzonego życiem. Sama mnie pani tego nauczyła. Więc co, jeśli nie ludzie? — Nagle chwycił ją za rękę. — Znowu zostawi mnie pani samego i może już nigdy pani nie zobaczę!

— Zgadza się. Ale nie wyrzuciłabym cię tak po prostu i bez niczego w głęboki wszechświat. Dam ci zatem pewną radę: znajdź Wielgusa.

— Ee... gdzie mam go znaleźć? — Jo był znowu dezorientowany.

— Jest za duży, by zjawić się na Ziemi. Ostatnio widziałam go na Księżycu. Nie mógł się doczekać przygód. Może jesteś właśnie na co czeka. Jestem pewna, że będzie dla Hebie miły; był zawsze bardzo miły dla mnie.

— I nie jest jednym z ludzi?

— Nie. No dobrze, dostałeś ode mnie radę. teraz idę. Mam wiele do zrobienia, a ty desz co nieco o bólu, w jakim żyję, dopóki ratko się nie dokona.

— San Severino! Zatrzymała się.

— Tamtego dnia na Mysiej Dziurze, kiedy [poszliśmy na zakupy, i pani zaśmiała się i nazwała mnie rozkosznym rozdroźniaczkiem... r kiedy się pani śmiała... była pani szczęśliwa?

Z uśmiechem potrząsnęła głową.

— Zawsze są ze mną LII. Muszę już iść.

Wycofywała się, aż liście otarły się o jej srebrzyste usta, suknię i koniuszki palców. A potem odwróciła się, unosząc z sobą niepojęty smutek właścicielki LII. Jo spoglądał za nią; w końcu też się odwrócił, i ujrzał, jak z piachu znika ostatnia kropka słonecznego blasku.

Była już noc, kiedy powrócił na Dworzec Komunikacyjny. Ziemia stanowiła rejon tłumnie nawiedzany przez turystów, tak więc zawsze ktoś kręcił się pod jaskrawo świecącym sufitem. Jo nie zaczął się jeszcze nawet zastanawiać, jak dostanie się na Księżyc, i przechadzał się to tu, to tam, dając upust swojej ciekawości, kiedy zagadnął go jakiś porządnie ubrany, korpulentny jegomość.

— Słuchajże, młodzieńcze, jesteś tu już od jakiegoś czasu, nieprawdaż? Czekasz na statek?

— Nie — odparł Jo.

— Zobaczyłem cię tu dzisiejszego popołudnia w towarzystwie pewnej czarującej młodej damy i nie potrafiłem oprzeć się pokusie, by ponownie ujrzeć was wieczorem. Na imię mi Oskar. — Wyciągnął rękę.

— Kometa Jo — odpowiedział Jo, podając mu dłoń.

— Dokąd to się wybierasz?

— Chciałbym dostać się na Księżyc. Przyleciałem tu okazją z Rhysa.

— No, no! Toż to kawał drogi. Którym statkiem będziesz leciał?

— Nie wiem. Jak sądzę, niełatwo jest złapać okazję z dworca, prawda? Chyba lepiej byłoby, gdybym spróbował na jakiejś stacji handlowej.

— Z pewnością tak, gdybyś chciał lecieć okazją. Oczywiście, jeśli Alfred się nie zjawi, może będziesz mógł wykorzystać jego bilet. Przegapił już dwa statki; naprawdę sam nie wiem, czemu tu jeszcze sterczę i czekam na niego. Chyba tylko dlatego, że rzeczywiście umówiliśmy się, iż polecimy razem.

— Na Księżyc?

— Zgadza się.

— Ach, wspaniale — rozpromienił się Jo. — Mam nadzieję, że nie zjawi się przed... — Spozrzegł się nagle. — To zabrzmiało zupełnie rozdroźnie, prawda?

— Prawda jest zawsze wielodrożna — zaintonował Oskar.

— Mhm. Ona mówiła to samo.

— Ta młoda dama, z którą byłeś tu po południu?

Jo skinął głową.

— Kto to właściwie był?

— San Severina.

— Słyszałem gdzieś to nazwisko. Co ona robi w tym ramieniu galaktyki?

— Kupiła właśnie paru LII. Ma do wykonania trochę pracy.

— Kupiła paru LII, co? I nie zostawiła ci żadnych pieniędzy na bilet? Kto by się spodziewał, że poskąpi tych stu pięciu kredytek na opłacenie lotu.

— Och, ona jest bardzo hojna — powiedział Jo. — I nie można mieć jej za złe, że kupiła LII. Okropnie smutno jest ich posiadać.

— Gdybym miał dość pieniędzy, żeby kupować LII — powiedział Oskar — niczym, ale to niczym bym się nie smucił. Paru LII? Ilu dokładnie kupiła?

— Siedmiu.

Oskar położył rękę na czole i gwizdnął.

— A cena rośnie w postępie geometrycznym! Wiesz, żeby kupić dwóch, trzeba zapłacić czterokrotnie więcej niż za jednego. Nie dała ci nic na bilet?

Jo potrząsnął głową.

— Niewiarygodne! W życiu o czymś takim nie słyszałem. Zdajesz sobie sprawę, jak bajecznie bogata musi być ta kobieta?

Jo znowu potrząsnął głową.

— Nie jesteś szczególnie bystry, co?

— Nigdy nie zapytałem jej, ile kosztowali, a ona nigdy mi nie mówiła. Byłem po prostu kosmoluchem na jej statku.

— Kosmoluchem? To brzmi interesująco.] Kiedy byłem w twoim wieku, zawsze chciałem zająć się czymś podobnym. Niestety, nigdy się] nie odważyłem. — Korpulentny jegomość rozejrzał się nagle po dworcu z wyraźnym zaniepokojeniem. — Słuchaj, Alfred już się nie pokaże. Skorzystaj z jego biletu. Po prostu podejdź do kasy i poproś o bilet.

— Przecież nie mam żadnych dokumentów] Alfreda — powiedział Jo.

— Alfred nigdy nie nosi dokumentów. Ciągłe gubi portfel i tak dalej. Zawsze kiedy rezerwuję dla niego lot, zaznaczam, że prawdopodobnie nie będzie miał przy sobie żadnych dokumentów. Powiedz im po prostu, że nazywasz] się Alfred A. Douglas, i dadzą ci bilet. Tylko] się pośpiesz.

— Hm, no dobra.

Jo, omijając ludzi, przedostał się do jednego [z kasjerów.

— Przepraszani — odezwał się — czy ma] pan bilet dla A. Douglasa?

Kasjer przejrzał spięte papiery.

— Tak, jest tutaj. — Wyszczерzył zęby] w uśmiechu. — Pewnie nieźle się zabawiałeś na Ziemi.

— Co proszę?

— Ten bilet czeka na ciebie od trzech dni.

— Aha — powiedział Jo. — No cóż, byłem trochę jakby w kiepskim stanie i nie chciałem pokazywać się rodzicom, dopóki się nie pozbieram.

Kasjer pokiwał głową i zrobił oko do Jo.

— Masz bilet.

— Dzięki — odrzekł Jo i wrócił do Oskara.

— Właśnie trwa odprawa najbliższego statku — powiedział Oskar. — No, chodź już, chodź. Alfred będzie musiał coś wymyślić, żeby się tam dostać.

Już na statku Jo spytał:

— Nie wiesz, czy Wielgus jest jeszcze na Księżycu?

— Myślę, że tak. O ile mi wiadomo, nigdy się nigdzie nie rusza.

— Jak uważasz, trudno mi będzie go znaleźć?

— Nie sędzę. Prawda, że piękny widok my z tego okna?

Kiedy wyszli z dworca na Lunie, Oskar rozwodził się właśnie nad kolejną pieprzną historyjką.

Plastkopułę tworzącą sklepienie kilometr ponad ich głowami przecinał jasny sierp słonecznego światła. Z prawej strony oddalał i się od nich łuk księżycowych gór, a za nimi tkwiła Ziemia, niczym zielonkawy żeton do gry w pokera.

Nagle ktoś krzyknął:

— Są tam!

Jakaś kobieta wrzasnęła i odskoczyła w tył.

— Brać ich! — zawołał ktoś inny.

— Co do jasnej... — zachłysnął się Oskar.

Jo rozejrzał się i odruchowo uniósł lewą rękę. Ale nie miał już pazurów. Było ich czterech: jeden za nim, jeden przed nim, po jednym j z każdej strony. Zanurkował i zderzył się] z Oskarem, który rozpadł się na kawałki. Kawałki zawirowały, prześlizgując się wokół stóp j Jo.

Rozejrzał się ponownie, kiedy eksplodowali] czterej mężczyźni. Brzęczące i furkoczącej fragmenty wirowały w powietrzu, otaczały go, zbliżały się coraz bardziej, zamazując osłupiałe twarze podróżnych. Wtem wszystkie złały] się w jedno i znalazł się w roztrzęsionej ciemności. W chwili gdy tracił równowagę, zapaliło się światło.

— Bosie! — ktoś krzyknął. — Bosie...!

Jo wylądował w fotelobańce w bardzo małym pokoju, który chyba się poruszał, ale Jo nie był tego pewien. Dał się słyszeć głos należący io Oskara:

— Prima aprilis. Niespodzianka.

— Gurga! — krzyknął Jo wstając. — Co tu się, do gurgi ciężkiej... co tu się dzieje?!

— Prima aprilis — powtórzył głos. — To łoje urodziny. Paskudnie wyglądasz; nie dałeś się chyba tym wszystkim poruszyć?

— Na śmierć się wystraszyłem. Co to ma łączyć? Kim ty jesteś?

Jestem Wielgus — powiedział Wielgus. — Myślałem, że wiesz.

— Że co wiem?

— No, cały ten numer — Oskar, Alfred, [Bosie. Myślałem, że też cię to bawi.

— Że bawi mnie co? Gdzie ja jestem?

— Na Księżycu, oczywiście. Pomyślałem [sobie, że to będzie sprytny sposób na sprowadzenie cię tutaj. Bo wiesz, San Severina naprawdę nie zapłaciła za twój przelot. Pewnie po [prostu zakładała, że ja to zrobię. No a skoro ja [stawiam, musisz pozwolić mi na odrobinę rozrywki. Nie załapałeś tego?

— Czego?

— To była aluzja literacka. Robię je bez przerwy.

— Następnym razem lepiej uważaj. Czym ty, właściwie jesteś?

— Wszędobylskim wielodrożnym gawędziarzem uzdolnionym słowotwórczo. Dla ciebie — Wielgusem.

— Czymś w rodzaju komputera?

— M hm. Mniej więcej.

— No, a co teraz powinno się zdarzyć?

— To ty powinieneś mi powiedzieć — rzekł] Wielgus. — Ja tylko pomagam.

— Aha — powiedział Jo.

Zza fotelobańki dobiegł chichot, a po chwili] wymaszerował stamtąd Dik, siadł przed Joj i popatrzył na niego z wyrzutem.

— Dokąd mnie zabierasz?

— Do mojej głównej konsoli. Możesz tam l wypocząć i poczynić plany. Usiądź i odpręż się.

Będziemy na miejscu za trzy — cztery minuty.

Jo usiadł. Nie odprężył się, za to wyjął okarynę i grał na niej, dopóki nie otworzyły się] drzwi w przedniej ścianie.

— Znowu w domciu, w ciepłym domciu] dziś wyszliśmy, dziś wracamy — powiedział] Wielgus. — Może wejdiesz?

— Muszę się — cisnął pelerynę na konsolę — stąd — rzucił sakwą o szklaną ścianę — wy-fać — Finalnym gestem było kopnięcie wy-lierzona w biegu Dikowi. Dik uskoczył; Jo potknął się i, roztrzęsiony, z trudem złapał równowagę.

— Kto cię zatrzymuje? — zapytał Wielgus.

— Gurgol się — mruknął Jo. — Słuchaj, [tkwię tu od trzech tygodni i za każdym razem, gdy szykuję się, żeby odejść, kończy się na jednej z tych idiotycznych rozmów z tobą , które [trwają po dziewięć godzin, a potem jestem już zbyt zmęczony. — Przeszedł przez korytarz | i podniósł swój płaszcz. — Niech będzie, jestem głupi. Ale dlaczego sprawia ci taką radość wbijanie mi tego do głowy? Nic na to nie poradzę, że jestem bezdrożnym tłukiem z ciemnej strony planety...

— Nie jesteś bezdrożny — przerwał mu Wielgus. — Patrzysz już na sprawy dość parodroźnie... choć jest w tobie sporo zrozumiałej nostalgii za starym rozdrożnym sposobem postrzegania. Czasem próbujesz go bronić tylko dla zasady. Jak wtedy kiedy omawialiśmy czynniki psychologiczne ograniczające pojmowanie teraźniejszości rzekomej, a ty upierałeś się przy twierdzeniu, że...

— O nie, ani mi się waż! — krzyknął Jo. — W następną dyskusję mnie nie wciągniesz. — Do tej chwili dotarł już do sakwy leżące/j w drugim końcu korytarza. — Odchodzę, j Dik, idziemy.

— Zachowujesz się głupio — powiedział! Wielgus tonem znacznie bardziej autorytatywnym niż zwykle.

— No więc jestem rozdrożny. I tak odchodzę.

— Inteligencja i drożność nie mają z sobą nic wspólnego.

— Tam stoi statek, którego obsługi uczyłeś! mnie przez ostatnie cztery dni — powiedział] Jo, wskazując przez szklaną ścianę. — Podczas pierwszej nocy, którą tu spędziłem, wpakowałeś mi do głowy hipnotyczny wszczep] trasy. Co, do krośset słońc, mnie tu trzyma?

— N i c cię tu nie trzyma — odparł Wielgus. — I gdybyś tylko wybił to sobie z głowy] mógłbyś odprężyć się i podejść do spraw] z sensem.

Jo obrócił się zirytowany i stanął twarzą w twarz z dwudziestometrową ścianą mikron złączy, bloków logicznych i klawiatur reprogramowania, błyskających kontrolnymi światełkami.

— Wielgusie, podoba mi się tutaj. Wspaniale jest mieć w tobie przyjaciela, naprawdę. [Ale mam tu darmowe jedzenie, ćwiczenia, [wszystko! I już od tego wariuję. Myślisz, że to [łatwo tak po prostu wyjść i cię tu zostawić?

— Tylko nie graj mi na uczuciach — [ostrzegł Wielgus. — Nie zaprojektowano mnie, żebym dawał sobie radę z takimi rzeczami.

— Czy wiesz, że odkąd przestałem być kosmoluchem, wykonałem mniej pracy niż w jakimkolwiek porównywalnym wcześniejszym ; okresie życia?

— Zmieniłeś się też bardziej niż w jakimkolwiek porównywalnym okresie życia.

— Słuchaj, Wielgusie, spróbuj mnie zrozumieć. — Jo upuścił płaszcz i podszedł do konsoli, którą stanowił duży mahoniowy pulpit. Wyciągnął spod niej krzesło, wczółgał się pod nią i usiadł, obejmując rękami kolana. — Wielgusie, bo ty mnie chyba nie rozumiesz. Posłuchaj. Jesteś tu sobie blisko wszystkich bibliotek i muzeów tego ramienia galaktyki. Masz masę przyjaciół, ludzi takich jak San Severina i innych, którzy ciągle wpadają tu zobaczyć się z tobą. Piszesz książki, tworzysz muzykę, malujesz obrazy. Czy myślisz, że potrafiłbyś być szczęśliwy w małym świecie stanowiącym

kulturę jednego produktu, gdzie w sobotnią noc nie ma nic do roboty poza piciem na umór, gdzie jest tylko jeden teleteatr i nie ma biblioteki, gdzie może czworo ludzi ukończyło uniwersytet, ale i tak nie możesz się z nimi widywać, bo zarabiają za dużo pieniędzy, i gdzie wszyscy wiedzą wszystko o wszystkich?

— Nie.

— A ja bym potrafił, Wielgusie.

— Dlaczego więc odszedłeś?

— No, z powodu tej wiadomości i pewnie dlatego, że wielu spraw tak naprawdę nie doceniałem. Myślę, że nie byłem jeszcze gotów do odejścia. Ty nie mógłbyś znaleźć tam szczęścia, ja bym mógł, i tyle. Koniec, kropka. Ale pewnie nie do końca to rozumiesz.

— Rozumiem — powiedział Wielgus. — I wierzę, że będziesz w stanie znaleźć szczęście w podobnym miejscu. Bo podobne miejsca składają się na większą część wszechświata. Będziesz musiał spędzić w nich sporo czasu i gdybyś naprawdę nie był w stanie ich zaakceptować, byłoby raczej smutno.

Dik zajął miejsce pod pulpit i wskoczył na kolana Jo. Pod pulpitem było zawsze o parę stopni cieplej i, jako istoty ciepłokrwiste, Dik i Jo: wielokrotnie — razem bądź oddzielnie — nawiedzali to miejsce.

— Teraz ty posłuchaj — odezwał się Wielgus.

Jo oparł głowę o boczną ścianę pulpitu. Dik zeskoczył z jego kolan, odszedł, a po chwili powrócił, ciągnąc plastikową sakwę. Jo otworzył ją i wyjął okarynę.

— Są rzeczy, o których mogę ci powiedzieć; o większości z nich już ci mówiłem. Są też rzeczy, o które musisz mnie zapytać. Zapytałeś dotąd o bardzo niewiele z nich. Wiem o tobie znacznie więcej, niż ty wiesz o mnie. I jeśli mamy być przyjaciółmi, a jest to bardzo ważne dla ciebie i dla mnie, ta sytuacja musi ulec zmianie.

Jo odłożył okarynę.

— To prawda, nie wiem o tobie zbyt dużo, Wielgusie. Skąd pochodzisz?

— Zbudował mnie konający LII, bym posłużył za siedlisko jego rozpadającej się świadomości.

— LII? — upewnił się Jo.

— Prawie już o nich zapomniałeś, zgadza się?

— Wcale nie.

— Widzisz, mój umysł jest umysłem LII.

— Ale przy tobie nie jest mi smutno.

— Jestem pół-LII, pół maszyną, więc omijam zabezpieczenie.

— Ty jesteś LII? — Jo nie mógł wciąż jeszcze w to uwierzyć. — Nigdy by mi to nie przyszło do głowy. Uważasz, że fakt, iż mi to powiedziałeś, cokolwiek zmieni między nami?

— Wątpię — powiedział Wielgus. — Ale jeśli dodasz coś na temat niektórych spośród twych najlepszych przyjaciół, sporo stracisz w moich oczach.

— Co masz do moich najlepszych przyjaciół? — zdziwił się Jo.

— Jeszcze jedna aluzja. Jeśli jej nie załapałeś, to tym lepiej.

— Wielgusie, a może byśmy poszli razem? — rzekł nagle Jo. — Ja odchodzę, na to się już zdecydowałem. Może byś poszedł ze mną?

— Znakomity pomysł. Myślałem już, że nigdy o to nie zapytasz. Nawiasem mówiąc, tylko w taki sposób możesz się stąd wydostać. Co prawda, rejony, w które się wybieramy, są wrogo nastawione do wolnych LII. Leżą w samym środku przestrzeni Imperium. Władcy Imperium chronią LII i bardzo się denerwują, kiedy któryś decyduje się odrzucić ich protekcję i być niezależnym. Niektóre z

postępków, jakie się im przypisuje, budzą grozę.

— Cóż, jeśli ktoś cię zapyta, po prostu powiedz, że jesteś komputerem. Jak już mówiłem, ja sam bym się nie domyślił, gdybyś nic mi nie powiedział.

— Nie zamierzam uchodzić za nikogo innego — powiedział oschle Wielgus.

— Więc to ja powiem, że jesteś komputerem. Chodźmy już. Będziemy tu sterczeć godzinami, jeśli nie skończymy. Czuję, że zaczyna się następna z tych naszych dyskusji. — Jo powstał spod pulpitu i ruszył w kierunku drzwi.

— Kometo...

Staął i obejrzał się przez ramię.

— Co? Tylko mi teraz nie mów, że się rozmyśliłeś.

— Och, nie. Zdecydowanie idę. Tylko że... gdyby taki wielki Wielgus jak ja zwyczajnie pojawił się na ulicy, to naprawdę myślisz — tylko uczciwie! — że ludzie mówiliby: „O, idzie wszędochy wielodrożny gawędziarz uzdolniony słowotwórczo"! nikt nie pomyślałby o LII?

— Dokładnie to bym powiedział, gdybym w ogóle miał coś powiedzieć.

— W porządku. Pojedź kolejką na Plac Prasy; spotkamy się tam za czterdzieści minut.

Dik na wszystkich ośmiu nogach popędził za Jo, biegnącym po spękanej, pokrytej pyłem powierzchni Księżyca w kierunku jajowatego statku.

Kolejkę stanowił sztuczny pływ stasis, który szybko wynosił statki aż za Pluton, gdzie mogły opuszczać Układ Słoneczny bez obawy o poważne zniszczenia przez słoneczny pył.

Wielka kwadratowa płyta plastiku, długości jakichś piętnastu kilometrów z każdego boku, podtrzymywała budynki, własną atmosferę i kilka stref rozrywkowych. Jo zaparkował swój statek w bocznej uliczce i wysiadł na chłodne powietrze.

Na placu żołnierze ćwiczyli musztrę.

— Po co to robią? — zapytał Jo jednego mundurowego, który odpoczywał na stronie.

— To bojowa brygada Armii Imperium. Będą się stąd wynosić za kilka dni, nie zostaną długo.

— To nie był protest z mojej strony — powiedział Jo. — Zwykła ciekawość.

— Aha — powiedział żołnierz, nie kwapiąc się z dalszymi wyjaśnieniami.

— Dokąd wyruszają? — spytał po chwili Jo.

— Słuchaj no — rzekł żołnierz, obracając się do Jo jak do upartego dziecka — wszystko na temat Armii Imperium, czego nie widać na pierwszy rzut oka, jest tajne. Jeśli nie obchodzi cię osobiście, gdzie się udają, zapomnij o tym. Jeśli cię obchodzi, idź i spróbuj dostać pozwolenie na zbieranie informacji od księcia Naktora.

— Naktora? — spytał Jo.

— To tamten. — Żołnierz wskazał ciemnowłosego mężczyznę z kocią bródką, który siedł na czele jednego z plutonów.

— Chyba mnie to nie obchodzi — rzekł Jo. Żołnierz spojrział na niego z odrazą, podniósł się z ziemi i odszedł. Czarne peleryny zafalowały zgodnym rytmem, gdy wojskowi skręcili dziarsko za róg ulicy.

Nagle w tłumie widzów nastąpiło poruszenie. Ludzie podnieśli głowy i zaczęli pokazywać coś palcami, rozmawiając z ożywieniem.

To coś nadlatywało w stronę placu, coraz większe i większe. Odbijało promienie słoneczne, było z grubsza sześciennie i — olbrzymie! Gdy jedna ściana obracała się do światła, inna znikła, aż w końcu Jo odzyskał właściwe poczucie proporcji: każdy bok obiektu miał niemal czterysta metrów długości.

Obiekt uderzył w plac, a Jo łącznie z wszystkimi żołnierzami oraz jednym z wyższych budynków

zwałił się na ziemię. Zapanowało zbiorowe zamieszanie, wyły syreny, ludzie biegli do i od obiektu.

Jo ruszył biegiem w jego stronę. Dzięki niewielkiej grawitacji dosyć szybko dotarł na miejsce. W powierzchni placu ziało kilka dużych szczelin o postrzępionych brzegach. Przeskakując jedną z nich, Jo zobaczył pod sobą gwiazdy.

Wstrzymując oddech, wylądował po drugiej stronie i dalej posuwał się już nieco wolniej. Zauważył, że obiekt pokryty jest czymś w rodzaju gotującej się galarety; galareta coś mu dziwnie przypominała, ale nie miał pojęcia, co. Przez lekko dymiącą breję zobaczył ścianę, którą obiekt zwrócony był ku niemu, szklaną ścianę. A za szkłem, w półmroku transplutońskiej nocy — mikrozłącza, bloki logiczne i słabe migotanie świateł kontrolnych.

— Wielgus! — krzyknął Jo biegnąc.

— Ćśśś — odezwał się znajomy głos, stłumiony przez galaretę. — Staram się nie zwracać na siebie uwagi.

Nie opodal przemaszerowali żołnierze.

— Tak czy siak, co to, u diabła, jest? — zapytał jeden z nich.

— To wszędobylski wielodrożny gawędziarz uzdolniony słowotwórczo — odparł drugi.

Pierwszy żołnierz podrapał się w głowę i zmierzył wzrokiem wysokość ściany.

— Wszędobylski jak cholera, nie? Trzeci badał właśnie krawędź szczeliny biegnącej przez plac.

— Chyba będą tu musieli sprowadzić któregoś z tych parszywych LII, żeby to odbudował!

Wielgus wyszeptał:

— Niech no tylko choć jeden z nich rzuci mi coś prosto w twarz. Niech no choć jeden...

— Och, zamknij się — powiedział Jo — albo nie oddam ci ręki mojej córki.

— A to co znowu ma znaczyć?

— To aluzja — wyjaśnił Jo. — Trochę sobie poczytałem, kiedy zdrzemnąłeś się w zeszłym tygodniu.

— Bardzo zabawne. Ach, jakie zabawne — powiedział Wielgus. Żołnierze zaczęli odchodzić.

— Nie sprowadzą żadnego LII — powiedział jeden z nich, drapiąc się w ucho. — To żołnierska robota. I tak to my tu odwalamy całe to budowanie. Ale, swoją drogą, chciałbym tu mieć jednego z tych parszywych LII.

Za galaretą kilka światełek kontrolnych Wielgusa zmieniło barwę.

— Co to za gurga, to co masz na sobie? — spytał Jo, odstępując o krok.

— To mój statek kosmiczny — odpowiedział Wielgus. — Korzystam z organoformy. Organoformy są dużo wygodniejsze dla przedmiotów nieożywionych takich jak ja. Nigdy żadnej nie widziałeś?

— Nie... tak! To było na Rhysie. To w czymś takim właśnie przylecieli Trytowianin i te inne istoty.

— Dziwne — powiedział Wielgus. — Oni zwykle nie latają organoformami. Nie są szczególnie nieożywieni.

Wokół komputera zbierało się coraz więcej ludzi. Wycie syren zbliżało się.

— Wynośmy się stąd — odezwał się Jo. — Dobrze się czujesz?

— W porządku — powiedział Wielgus. — Tylko ten plac mnie zastanawia.

— Nieugięty, choć skrwawiony — rzekł Jo.

— To kolejna aluzja. Ruszaj, spotkamy się na Ekwisignie.

— Świetnie — powiedział Wielgus. — Cofnij się. Startuję.

Rozległo się bulgotanie i potężne cmok; Jo zachwiał się od podmuchu wiatru. Ludzie znowu

zaczęli krzyczeć.

W statku Dik kulił się pod pulpitem sterowniczym, nakrywając łeb przednimi łapami. Jo wcisnął klawisz startu i automaty przejęły stery. Rozgardiasz placu pozostał daleko pod nimi. Jo przeprowadził szybką kontrolę hiperstasis i dał sygnał do skoku.

Generatory stasis szarpnęły i statek zaczął ześlizgiwać się w hiperstasis. Ślizg jeszcze się nie skończył, gdy nagle statek zatoczył się jak pijany i Jo wyrznął w pulpity. Siła uderzenia poszła w nadgarstki; Jo odbił się od pulpitu z bólem w obu przegubach. Dik zaczął piszczeć.

Jo wyłuskał swoje przednie zęby z dolnej wargi.

— To nie jest gra w szachy — ciągnął dalej głos. — Jeśli chcesz zająć moje pole, ja nie dam się zdjąć z szachownicy. Następnym razem lepiej uważaj.

— Gnnnnnnng — powiedział Jo, rozcierając sobie usta.

— Tego samego tobie, z nawiązką.

Jo pokręcił głową i założył swój sensoryczny kask. Śmierdziało starą gurgą. Słysząc było dźwięki, jakby zgniatano złom hydrauliczną prasą. Ale widok był przepiękny.

Pochylnie wyginały się w kształty rozkwitające niczym kwiaty. Z koniuszków strzelistych wież buchał zastygły metal niby lawa z kraterów wulkanów, a na wysmukłych stalowych słupach spoczywały kruche kopuły obserwacyjne.

— Może mógłbyś wysiąść i sprawdzić, czy czegoś nam nie uszkodziłeś.

— Och — powiedział Jo. — No tak. Jasne.

Podszedł do luku i miał go już otworzyć, gdy nagle zdał sobie sprawę, że światło alarmowe wciąż się jeszcze pali.

— Hej! — zawołał w stronę interkomu. — Na zewnątrz nie ma powietrza.

— Myślałem, że sam się tym zajmiesz — odparł głos. — Chwileczkę. — Światło zgasło.

— Dzięki — powiedział Jo. Pociągnął za dźwignię. — Co to właściwie za miejsce?

Na zewnątrz jedną z pochylni schodził ku niemu łysiejący człowiek w białym kitlu.

— To Stacja Pomiarów Geodezyjnych, którą niemal rozjechałeś, chłopcze. — Jego głos brzmiał znacznie słabiej w połączeniu z osobą. — Lepiej wejdź dalej do środka pola siłowego, zanim ulotni się atmosfera. Nie mam pojęcia, co ci przyszło do głowy wyczyniać.

— Kończyłem właśnie skok w stasis, po drodze na Ekwisignę. Rozdrożnie się zachowałem, prawda? — Jo ruszył za mężczyzną w górę rampy. Tamten wzruszył ramionami.

— Nigdy nie wygłaszam takich jednoznacznych sądów — powiedział. — A teraz powiedz mi, jaką masz specjalizację.

— Chyba nie mam żadnej. Mężczyzna zmarszczył czoło.

— Nie wydaje mi się, żeby był nam teraz potrzebny syntezer. Oni bywają tacy długowieczni.

— Wiem prawie wszystko, co trzeba wiedzieć o uprawie i składowaniu pliazylu — powiedział Jo.

Mężczyzna uśmiechnął się.

— Obawiam się, że niespecjalnie by się to przydało. Jesteśmy dopiero przy tomie sto sześćdziesiątym siódmym — od BBA do BBAAB.

— Popularna nazwa pliazylu to gurga — do. dał Jo.

Mężczyzna uśmiechnął się do niego łagodnie.

— Do G i tak mamy jeszcze dość daleko. Ale jeśli będziesz żył jeszcze za pięćset — sześćset lat, rozpatrzmy twoją propozycję.

— Dzięki — powiedział Jo — ale raczej zrezygnuję.

— Proszę bardzo — rzekł mężczyzna, odwracając się tyłem do Jo. — Żegnam.

— No a co z uszkodzeniami mojego statku? Nie zamierza pan ich sprawdzić? Przede wszystkim nie powinno was tutaj być. Na tej trasie miałem otwartą drogę, sprawdzałem.

— Młodzieńcze — odparł mężczyzna — po pierwsze, to my mamy pierwszeństwo. Po drugie, jeśli nie szukasz pracy, nadużywasz naszej uprzejmości, zużywając nasze powietrze. Po trzecie, prowadzone są właśnie prace przygotowawcze do hasła BIOLOGIA, CZŁOWIEK, więc jeśli będziesz mi się naprzykrzał, wyślę cię jako preparat i każę pociąć na kawałeczki. I nie myśl, że tego nie zrobię.

— A co z moją wiadomością? — zaproponował Jo. — Muszę przesłać wiadomość dotyczącą LII do Gwiazdy Imperium. To ważne. Dlatego właśnie na was wpadłem.

Na twarzy mężczyzny pojawił się wyraz wrogości.

— Kiedyś — powiedział mężczyzna spokojnie — ukończymy naszą pracę i wiedza będzie na tyle rozległa, że LII staną się nieopłacalni ze względów ekonomicznych, ponieważ budownictwo będzie sobie dawać radę bez nich. Jeśli chcesz pomóc LII, każę bezzwłocznie pokrajać cię na plasterki. Ojciec pracuje właśnie nad aortą. Jest masa do zrobienia na temat bicepsa. Właśnie zaczęliśmy czaszkę, a dwunastnica wciąż jeszcze jest zakrytą kartą. Jeśli chcesz dostarczyć swoją wiadomość, zostaw ją tutaj.

— Ale nie wiem, jak ona brzmi! — powiedział Jo, wycofując się ku krawędzi pola siłowego. — Chyba już sobie pójdę.

— Mamy komputer, który zajmuje się właśnie takimi problemami jak twój — powiedział mężczyzna. — O nie, nie z naszym powietrzem w płucach — dodał i rzucił się za Jo.

Jo zauważył, gdzie mężczyzna się rzuca, i po prostu go tam nie było. Pole siłowe było przepuszczalne, więc zanurkował przez nie, doskoczył do śluzы statku i zatrzasnął ją za sobą. Światło alarmowe zapaliło się w niecałą sekundę później.

Wrzucił wsteczny ciąg i zaczął się modlić, by autopilot dał radę wejść w odpowiedni pływ i przenieść statek w głębszy poziom stasis. Udało mu się to, co prawda, z lekkim szarpaniem, i obraz Stacji Pomiarów Geodezyjnych zniknął z powłok wideo sensorycznego kasku, leżącego na pulpicie sterowniczym.

Odnalazł Wielgusa bez trudu na orbicie wokół Ekwisigny. Ekwisygna była planetą złożoną ze zmrożonego metanu o tak bogatej aktywności wulkanicznej, że jej powierzchnia bez przerwy pękała i wybuchała. Była jedyną córką intensywnie gorącego białego karła i z orbity obydwu ciał wyglądały jak para oczu śledzących noc — jedno obsypane klejnotami i świecące, drugie srebrnoszare.

— Wielgusie, chcę wracać do domu. Z powrotem na Rhysa. Chcę rzucić to wszystko.

— Czemuż to, u licha? — dobiegł z interkomu pełen niedowierzania głos komputera.

Jo oparł się na łokciach i popatrzył ponuro na swoją okarynę.

— Wielodrożny wszechświat nie pociąga mnie. Nie podoba mi się. Chcę się z niego wyrwać. Jeśli jestem teraz parodrożny, to fatalnie, to błąd, i jeśli w ogóle uda mi się wrócić na Rhysa, będę starał się ze wszystkich sił być rozdrożny. Naprawdę.

— Co w ciebie wstąpiło?

— Po prostu nie podobają mi się ludzie. To chyba dlatego. Słyszałeś kiedyś o Stacji Pomiarów Geodezyjnych?

— Oczywiście. Wpadłeś na nich?

— Mhm.

— To rzeczywiście niefortunne. Cóż, w wielodrożnym wszechświecie istnieją pewne smutne zjawiska, z którymi trzeba sobie radzić. A jednym z nich jest rozdrożność.

— Rozdrożność? — zdziwił się Jo. — O czym ty mówisz?

— I powinieneś raczej się cieszyć, że nabyłeś aż tyle wielodrożności widzenia; inaczej nigdy nie uszedłbyś im żywy. Słyszałem opowieści o innych rozdrożnych stworzeniach, które ich napotkały. Żadne z nich nie wróciło.

— To oni są rozdrożni?

— Mój Boże, jasne. Nie zauważyłeś?

— Ale przecież... gromadzą te wszystkie informacje. I tam, gdzie żyją, jest tak pięknie... Nie mogą być głupi, skoro zbudowali coś takiego.

— Po pierwsze, większą część tej Stacji Pomiarów Geodezyjnych zbudowali LII. Po drugie, jak już wcześniej wielokrotnie powtarzałem, inteligencja nie zawsze idzie w parze z drożnością.

— Ale jak się tego miałem domyślić?!

— Myślę, że nie zaszkodzi przedstawić ci w ogólnym zarysie kilka symptomów. Czy zadali ci choć jedno pytanie?

— Nie.

— To pierwszy sygnał, choć jeszcze nie przesądzający sprawy. Czy zrozumiałeś z wygłaszanych przez nich opinii o tobie, że ocenili cię poprawnie?

— Myśleli, że szukam pracy.

— Z czego wnioskuję, że powinni byli zadać ci pytania. Wielodrożny umysł w razie potrzeby nie waha się zadawać pytań.

— Przypominam sobie — powiedział Jo, odkładając okarynę — że Charona, gdy próbowała mi to wszystko wyjaśnić, zapytała mnie, co jest najważniejszą rzeczą na świecie. Gdybym ich o to spytał, wiem, co by mi odpowiedzieli: że to ten ich zafajdany słownik czy encyklopedia, czy co też tam mają.

— Racja. Każdy, kto odpowiada na to pytanie jednoznacznie, jest rozdrożny.

— Ja odpowiedziałem, że to gurga — wyznał Jo z nostalgią w głosie.

— Ci w Stacji zajmują się katalogowaniem całej wiedzy wszechświata.

— To, jak sądzę, ważniejsze od gurgi.

— Z parodrożnego punktu widzenia być może tak. Ale z punktu widzenia wielodrożnego są to sprawy mniej więcej jednakowej wagi.

Przede wszystkim ich zadanie jest raczej trudne. Kiedy ostatnio o nich słyszałem, byli już przy literze B, a jestem pewien, że nie mają ani linijki na temat AAAAAAAAAAAAAAAAAAVDQX.

— Co to jest... no, to co powiedziałeś?

— To nazwa określająca pewien raczej skomplikowany zespół deterministycznych wartościowań moralnych dokonywanych przez pryzmat poglądów teorii względności na kwestię momentu dynamicznego. Studiowałem to jakiś czas temu.

— Termin jakoś nie obił mi się o uszy.

— Bo przed chwilą go wymyśliłem. Ale określa rzeczy całkiem konkretne i godne nawet małej rozprawy. Nie wydaje mi się, by ci ze Stacji potrafili choćby liznąć ich sens. Ale od tej pory będę określał je mianem AAAAAAAAAAAAAAAAAAVDQX, a ponieważ nas dwóch zna teraz to słowo, to już się liczy.

— Zdaje mi się, że chwytam sedno sprawy.

— Poza tym katalogowanie całej wiedzy, nawet jeśli jest to cała dostępna wiedza, choć godne podziwu, jest... hm, jedynym określeniem może być „rozdrożne”.

— Dlaczego?

— Można dowiedzieć się wszystkiego, co trzeba wiedzieć; albo można dowiedzieć się tego, co pragnie się wiedzieć. Ale gdy trzeba dowiedzieć się wszystkiego, co pragnie się wiedzieć, to nawet

semantycznie kupy się to nie trzyma; a tak właśnie działa Stacja Pomiarów Geodezyjnych. Co się stało z twoim statkiem?

— Stacja Pomiarów Geodezyjnych. Zderzyliśmy się.

— Nie wygląda mi to zbyt dobrze.

— Przy starcie trochę mną targęło.

— Więcej, wygląda mi to raczej zbyt niedobrze. Zwłaszcza gdy wziąć pod uwagę, jak daleko mamy lecieć. Może byś tak przeskoczył tutaj i podróżował razem ze mną? Ta organoforma jest pierwsza klasa, a coś mi się wydaje, że ja mam trochę lepiej opanowane lądowania i starty.

— Najpierw musisz mi dać słowo, że nie skręcisz mi karku przy lądowaniu.

— Słowo — powiedział Wielgus. — Teraz się otworzę. Przekręć się w lewo, a potem zostaw ten kosmiczny wrak i niech sobie leci.

Statki zetknęły się.

— Jo — rzekł Wielgus, kiedy elastyczny rękaw przyklejał się do śluzy powietrznej — jeżeli naprawdę tego chcesz, możesz zawrócić. Ale przychodzi taki czas, kiedy zawrócić jest trudniej niż podążać dalej. Odebrałeś gruntowną i bardzo specjalistyczną edukację. Nie tylko ja i San Severina próbowaliśmy cię kształcić — uczyłeś się, jeszcze będąc na Rhysie.

Jo ruszył wzdłuż rękawa.

— Dalej chcę wracać do domu. — Zwolnił kroku, zbliżając się do sterowni. — Wielgusie, czasami, nawet jeśli jest się rozdrożnym, przychodzi do głowy pytanie, kim ja jestem? W porządku, mówisz, że Stacja Pomiarów Geodezyjnych jest rozdrożna. To trochę poprawia mi nastrój. Ale ciągle jestem bardzo zwyczajnym dzieciakiem, który chciałby wrócić na pole gurgi i może przegonić parę dzikich kepardów. Taki jestem. Tylko to wiem.

— Gdybyś wrócił, zauważyłbyś, że ludzie wokół ciebie są bardzo podobni do tych ze Stacji Geodezyjnej. Oszczędłeś z domu, Jo, bo byłeś nieszczęśliwy. Pamiętasz, dlaczego?

Jo dotarł do sterowni, lecz zatrzymał się, opierając rękami o drzwi.

— Gurga, tak. Pewnie, że pamiętam, dlaczego. Bo myślałem, że jestem inny. Wtedy nadeszło to przesłanie i uznałem je za dowód, że jestem kimś szczególnym. Inaczej by mi go nie przekazano. Wiesz co, Wielgusie — Jo wychylił się na rękach w przód — gdybym rzeczywiście wiedział, że jestem kimś szczególnym... znaczy, gdybym miał p e w n o ś ć... to nie przejmowałbym się tak bardzo czymś takim jak Stacja Pomiarów! Ale przeważnie czuję się po prostu zagubiony, nieszczęśliwy i bardzo zwyczajny.

— Jesteś sobą, Jo. Jesteś sobą i wszystkim tym, co cię kształtuje, począwszy od pozycji, w jakiej godzinami przesiadujesz, obserwując

Dika, kiedy chcesz porozmyślać, aż po refleks, z jakim reagujesz o dziesiątą część sekundy szybciej na coś niebieskiego niż na coś czerwonego. Jesteś wszystkim, o czym kiedykolwiek myślałeś, kiedykolwiek marzyłeś, a także czego kiedykolwiek nienawidziłeś. I wszystkim, czego się nauczyłeś. A nauczyłeś się i wciąż uczysz wiele, Jo.

— Ale gdybym tylko wiedział, że należy to do mnie, Wielgusie... Tego właśnie chcę być pewien: że wiadomość jest naprawdę ważna i że ja jestem jedynym, który może ją przekazać. Gdybym rzeczywiście wiedział, że edukacja, którą odebrałem, uczyniła mnie... no, jak już mówiłem, kimś szczególnym... wtedy nie miałbym nic przeciw temu, by iść dalej. Gurga, cieszyłbym się z tego.

— Jo, jesteś sobą. A to jest tak ważne, jak chcesz, by było ważne.

— Może to jest ta najważniejsza rzecz na świecie, Wielgusie. Jeżeli istnieje odpowiedź na to pytanie, Wielgusie, to właśnie taka: wiedzieć, że jest się sobą i nikim innym.

W momencie kiedy Jo przekroczył próg sterowni, z głośników sekcji komunikacyjnej zaczął

dobiegać szmer. Podczas gdy Jo rozglądał się wokół, szmer narastał.

— Co to jest, Wielgusie?

— Nie jestem pewien.

Drzwi zamknęły się, rękaw połączeniowy odpadł, a zdezelowany jacht zdryfował w tył. Jo patrzył na niego przez szklaną ścianę, pokrytą zniekształcającą nieco widok organopianą.

Teraz głośniki się śmiały.

Dik podrapał się za uchem jedną z łap.

— Stamtąd nadlatuje — odezwał się Wielgus. — I to nadlatuje strasznie szybko.

Śmiech brzmiał coraz głośniejszy, stawał się histeryczny, wypełniał sobą całe wysokie pomieszczenie. Coś śmignęło za szklaną ścianą Wielgusa, nagle obróciło się i gwałtownie zbliżyło na odległość jakichś sześciu metrów.

Śmiech ucichł i zmienił się w urywany, przyspieszony oddech.

To, co było na zewnątrz, wyglądało jak wielki odłam skalny, tyle że z zeszlifowaną przednią ścianą. Gdy tak dryfowali w blasku Ekwisigny, refleksy białego światła zapełgały na powierzchni ściany, i Jo zobaczył, że jest ona przezroczysta. Stała za nią jakaś postać pochylona do przodu z rękoma na karku i w szerokim rozkroku. Nawet z tej odległości Jo widział wyraźnie, jak klatka piersiowa postaci unosi się i opada w rytm sapania przewalającego się burzą przez sterownię.

— Wielgusie, czy mógłbyś, z łaski swojej, przyciszyć fonie?

— Oj, przepraszam. — Sapanie przestało sprawiać wrażenie dochodzącego bezpośrednio z wnętrza ucha Jo i zeszło do przyzwoitego poziomu dźwięku rozbrzmiewającego z odpowiedniej ilości metrów. — Chcesz z nim pomówić, czy ja mam to zrobić?

— Ty zacznij.

— Kim jesteś? — zapytał Wielgus.

— Jestem Ni Taj Li. A kim ty jesteś, u licha, że wydajesz mi się taki ciekawy?

— Jestem Wielgus. Słyszałem o tobie, Ni Taj Li.

— A ja nigdy nie słyszałem o tobie, Wielgusie. Ale powinienem był, wiem o tym. Dlaczego jesteś taki ciekawy?

Jo wyszeptał: — Kto to jest?

— Ćśśś — odparł Wielgus. — Powiem ci później. Co przed chwilą robiłeś, Ni Taj Li?

— Leciałem ku tamtemu słońcu, o tam, gapilem się na nie i myślałem sobie, jakie jest piękne, i śmiałem się, bo miało wkrótce mnie zniszczyć i dalej być piękne, i pisałem wiersz o tym, jak piękne jest to słońce i jak piękna jest ta planeta, która je okrąża; i robiłem to wszystko, póki nie wpadłem na coś ciekawszego, a było to dowiedzieć się, kim jesteś.

— Wejdz więc na pokład, a dowiesz się trochę więcej.

— Wiem już, że jesteś wszędobylskim wielodrożnym gawędziarzem uzdolnionym słowotwórczo z umysłem opartym na świadomości LII — rzekł Ni Taj Li. — Czy jest jeszcze coś, czego powinienem się dowiedzieć, nim poześluję w płomienie?

— Mam na pokładzie chłopca w twoim wieku, o którym nie wiesz zupełnie nic.

— W takim razie przesiadam się. Przygotuj swój rękaw. Pojazd ruszył do przodu.

— Skąd on wiedział, że jesteś LII? — zapytał Jo, kiedy odłam skalny zbliżał się do nich.

— Nie wiem — odparł Wielgus. — Niektórzy od razu się orientują. Lepsi już tacy niż ci, co to siedzą i gadają z tobą przez godzinę, zanim w końcu odważą się zapytać. W każdym razie, założę się, że nie wie, którym LII jestem.

Rękaw połączył się z pojazdem Ni. W chwilę później otworzyły się drzwi i Ni Taj Li wszedł nonszalancko do środka; trzymając kciuki w kieszeniach, rozejrzał się dookoła.

Jo wciąż jeszcze miał na sobie czarną pelerynę, którą San Severina kupiła mu na Mysiej Dziurze. Ni Taj Li natomiast wyglądał jak kosmoluch. Był bosy. Nie miał koszuli. Jego spłowiałe dreluchy były wystrzępione na kolanie. Jego zbyt długie włosy srebrzystoblond były zebrane na czole i nad uszami; jego twarz miała wysokie kości policzkowe i skośne, wschodnie oczy koloru odprysków łupku.

Twarz zagapiła się na Jo i wyszczerzyła w uśmiechu.

— Cześć — powiedział Ni podchodząc.

Wyciągnął dłoń i Jo zaczął ją ścisnąć. Palce prawej ręki Ni zakończone były pazurami. Ni przechylił głowę.

— Napiszę wiersz o emocjach, które właśnie odbiły się na twojej twarzy. Pochodzisz z Rhysa, pracowałeś niegdyś na polach gurgi, związałeś się w kłębek nie opodał ognisk podczas Nowego Cyklu i zabijałeś wdzierające się kepardy. — Nie otwierając ust, wydał z siebie cichy, smutny dźwięk wyrażający zaskoczenie. — Hej, Wielgusie. Wiem już o nim wszystko, więc będę leciał. — Zaczął się odwracać.

— Byłeś na Rhysie? Naprawdę byłeś na Rhysie? — wykrztusił Jo. Ni obrócił się do niego.

— Tak. Byłem. Trzy lata temu. Doleciałem tam okazją jako kosmoluch i pracowałem jakiś czas na polu numer siedem. To stamtąd je mam. — Uniósł pazury.

W krtani Jo zaczął narastać pulsujący ból, jakiego nie czuł od chwili, kiedy po raz pierwszy zagrał dla LII.

— Pracowałem na polu siódmym tuż przed Nowym Cyklem.

— Czy dozorca James wbił w końcu trochę rozumu do głowy temu swojemu zepsutemu synalkowi? Na ogół układa mi się z ludźmi, ale z tym namolnym chwalipiętą cztery razy się biłem. Raz o mały włos byłbym go zabił.

— Ja... ja go zabiłem... — wyszeptał Jo.

— Ach — rzekł Ni. Zamrugnął. — Cóż, nie mogę chyba powiedzieć, że to mnie dziwi. — Ale i tak wyglądał na zaskoczonego.

— Ty tam naprawdę byłeś — powiedział Jo. — Nie czytasz po prostu w moich myślach?

— Byłem tam. We własnej osobie. Przez trzy i pół tygodnia.

— To niezbyt długo.

— Nie mówiłem, że byłem tam długo.

— Ale naprawdę tam byłeś — powtórzył Jo.

— Wszechświat nie jest znów taki wielki, bracie. Wielka szkoda, że wasza kultura była tak rozdrożna, bo gdyby można było dowiedzieć się o was czegoś więcej, zostałbym dłużej. — Obrócił się ku wyjściu.

— Poczekaj chwilę! — zawołał Jo. — Chcę... m u s z ę z tobą pomówić.

— Musisz?

Jo kiwnął głową.

Ni Taj włożył ręce do kieszeni.

— Od dawna już nikt nie musiał mieć ze mną do czynienia. To będzie chyba dość ciekawy temat na wiersz. — Luźnym, szpanerskim krokiem podszedł do tablicy rozdzielczej i usiadł na pulpicie. — Zostanę jeszcze chwilę, niech będzie. O czym to musisz ze mną pomówić?

Jo milczał, przez głowę przebiegało mu tysiące myśli.

— Słuchaj, z czego zrobiony jest twój statek? — zapytał w końcu. Ni Taj Li popatrzył w sufit.

— Hej, Wielgusie — zawołał — czy ten facet robi mnie w balona? On nie musi tak na serio wiedzieć, z czego zrobiony jest mój statek, prawda? Jeśli robi mnie w balona, zaraz sobie pójdę.

Ludzie bez przerwy robią mnie w balona, i wiem wszystko na ten temat, i ani trochę mnie to nie ciekawi.

— Jo potrzebuje małej rozgrzewki, zanim przejdzie do spraw naprawdę istotnych — powiedział Wielgus. — Musisz być cierpliwy.

Ni Taj ponownie spojrzał na Jo.

— Wiesz, on ma rację. Z moich wierszy zawsze wyciekają mi pojedyncze słowa i całe akapity, bo piszę zbyt szybko. A potem nikt ich nie rozumie. Nie za bardzo wiem, jak być cierpliwym. Mogłoby to nawet być całkiem ciekawe. To twoja okaryna?

Jo przytaknął.

— Grywałem kiedyś na czymś takim. — Ni zbliżył instrument do warg i zagrał szybką, wesołą melodię, która pod koniec gwałtownie zwolniła.

Gula w gardle Jo powiększyła się jeszcze bardziej. Ta melodia była pierwszą, którą nauczył się grać na okarynie.

— To jedyna melodia, której się w życiu nauczyłem. Nie powinienem był rozstawać się z nią tak szybko. Trzymaj, teraz ty. Może to cię rozgrzeje.

Jo tylko potrząsnął głową.

Ni Taj wzruszył ramionami, obrócił okarynę w dłoniach i zapytał:

— Czy to boli?

— Tak — odparł Jo po chwili.

— Nic na to nie poradzę — powiedział Ni Taj. — Po prostu robiłem w życiu wiele rzeczy.

— Czy mogę coś wtrącić? — zapytał Wielgus.

Ni znowu wzruszył ramionami.

— Pewnie.

Jo kiwnął głową.

— Podczas swoich lektur będziesz miał wrażenie, Jo, że niektórzy pisarze dawno temu odkryli wszystko to, co ty sam odkryłeś, że dokonali wszystkiego, czego sam dokonałeś. Był kiedyś taki antyczny pisarz science fiction, Theodore Sturgeon. Czytając go, zawsze się załamywałem. Zdawało mi się, że widział każdy błysk światła w oknie, cień każdego liścia na siatce kuchennych drzwi, jaki kiedykolwiek widziałem; że robił wszystko, co robiłem w życiu, począwszy od gry na gitarze, a skończywszy na kilkutygodniowym leniuchowaniu na pokładzie łodzi w Arransas Pass w stanie Teksas. A podobno tworzył fikcję, i to w dodatku cztery tysiące lat temu. Potem dowiadujesz się, że mnóstwo innych ludzi odkrywa to samo w tym samym pisarzu, choć nie robili nic, co ty robiłeś, ani nie widzieli nic, co ty widziałeś. Tacy pisarze należą do rzadkości. Ale Ni Taj Li należy do takich pisarzy. Przeczytałem wiele twoich wierszy, Ni Taju. Jestem pewien, że gdybym miał wyrazić ci cały mój podziw, wprawiłoby cię to tylko w zakłopotanie.

— O rany — powiedział Ni Taj. — Dzięki. — Uśmiech, który rozjaśnił mu twarz, był za szeroki, aby mógł go ukryć pochYLENIEM głowy. — Straciłem większość tych najlepszych. Albo już ich nie zapisywałem. Szkoda, że nie mogę ci pokazać paru z nich. Były naprawdę fajne.

— To rzeczywiście wielka szkoda — rzekł Wielgus.

— Hej — Ni Taj podniósł oczy — przecież musisz ze mną pomówić. Nie pamiętam już, o co pytałeś.

— O twój statek — powiedział Jo.

— Po prostu wydrążyłem gładki odłam meteoru, z tyłu wkręciłem napęd Kayzona i sterami ustaliłem przepuszczalność wulkaniczną.

— Tak, tak! — wykrzyknął Wielgus. — Dokładnie tak to zrobiłem! Wkręciłem Kayzona ;

kluczem z lewoskrętną grzechotką. Gwinty biegną w odwrotną stronę, prawda? To było I całe wieki temu, ale jakież to było cudeńko, ten [statek!

— Masz rację co do gwintów — powiedział Ni Taj. — Tylko że ja użyłem kombinerek.

— To nie ma znaczenia. Ważne, że to zrobiłeś. Mówiłem ci, Jo, niektórzy pisarze są po prostu niesamowici.

— Tkwi w tym jednak pewien szkopuł — rzekł Ni Taj. — Nigdy nie robię nic wystarczająco długo, aby poznać to do głębi, a tylko na tyle, by zaznaczyć to w jednym wersie czy zdaniu; potem rzucam się na coś nowego. Chyba się boję. A piszę, żeby powetować sobie to wszystko, czego tak naprawdę nie nadążam zrobić.

W tym miejscu coś zaczęło mnie lekko rwać. Powiedziałem dokładnie to samo do Norna na godzinę przed naszą katastrofą na Rhysie, kiedy to dyskutowaliśmy na temat mojej najnowszej książki. Pamiętacie mnie? Jestem Klejnot.

— Ale przecież masz dopiero tyle lat, co ja i — powiedział w końcu Jo. — Jakim cudem; udało ci się zrobić i napisać tak wiele w tak] młodym wieku?

— No cóż, ja... to znaczy... tak naprawdę t(ja chyba nie wiem. Po prostu to robię. Pewnie wielu rzeczy nigdy nie zrobię, bo za bardzo zajmuje mnie pisanie.

— Jeszcze raz się wtrączę — odezwał Wielgus. — Nie będzie cię krępować, jeśli wyj jaśnień mu całą tę historię?

Ni Taj potrząsnął głową.

— To tak jak Oskar i Alfred — powiedział Wielgus.

Na twarzy Ni odmalowała się zadziwiająca ulga. — Albo jak Paul V. i Arthur R. — dodał.

— Jak Jean C. i Raymond R. — dopowiedział Wielgus, wpadając w rytm.

— Albo Wiły i Colette.

— To powracający motyw literacki — wyjaśnił Wielgus. — Starszy pisarz, młodszy pisarz — często zwykłe dziecko — i jakaś tragedia. I świat obserwuje narodziny czegoś cudownego. Zdarza się to cyklicznie co dwadzieścia pięć — pięćdziesiąt lat od czasów romantyzmu.

— Kto jest tym starszym pisarzem? — zapytał Jo. Ni Taj opuścił oczy. — Muels Aranlyde.

— Nigdy o nim nie słyszałem — powiedział Jo.

Ni Taj zamrugał. — Och, myślałem, że wszyscy znają całą tę paskudną sprawę.

— Chętnie go poznam — zaofiarował się Jo.

— Wątpię, żeby była ci dana taka możliwość — rzekł Wielgus. — Zdarzyła się tragedia nad wyraz tragiczna.

— Aranlyde był jednym z LII. — Ni Taj zaczerpnął oddechu i zaczął wyjaśniać: — Odbyliśmy razem długą wycieczkę i...

i I

— Odbyłeś długą wycieczkę razem z LII?

— No wiesz, on właściwie tylko częściowo... — Urwał nagle. — Nic na to nie poradzę — powiedział. — Po prostu to zrobiłem. Słowo daję, nic na to nie mogę poradzić.

— Wiesz zatem o smutku LII — rzekł Jo.

Ni Taj kiwnął głową. — Tak. Bo widzisz, ja go sprzedałem. Byłem w rozpaczliwej sytuacji, potrzebowałem pieniędzy, a on powiedział mi, żebym się nie krępował.

— Sprzedałeś go? Ale dlaczego...

— Względy ekonomiczne.

— Och.

— Za pieniądze kupiłem tańszego LII, żeby odbudować planetę, którą zniszczyliśmy; tak więc

jest mi znany smutek właścicieli LII, choć była to mała planeta i zajęła nam bardzo mało czasu. Zaledwie parę dni temu opowiadałem to wszystko San Severinie — ona też kupowała i sprzedawała LII, używając ich do odbudowy...

— Znasz San Severinę?!

— Tak. Dawała mi lekcje interlingu, kiedy byłem kosmoluchem na...

— Nie! — krzyknął Jo. Ni Taj potrząsnął głową i wyszeptał: — Słowo daję, nic na to nie mogę poradzić! Słowo!

— Nie! — Jo obrócił się, przyciskając dłonie od uszu, przykucnął i zatoczył się.

Za jego plecami Ni Taj zawołał: — Wielgusie, mówiłeś, że on mnie potrzebuje!

— Bardzo dobrze spełniasz jego potrzebę. Jo okręcił się na pięcie. — Wynoś się stąd! Ni Taj z przestraszoną miną podniósł się z pulpitu.

— To moje życie, do cholery, nie twoje. Należy do mnie! — Jo chwycił Ni za uzbrojoną w pazury rękę. — Do mnie. Porzuciłem je, ale to nie znaczy, że wolno ci je brać.

Ni gwałtownie wciągnął powietrze. — To już nie jest ciekawe — powiedział szybko, ostrożnie odsuwając się od pulpitu. — Przechodziłem przez to aż za dużo razy.

— Aleja nie! — krzyknął Jo. Czuł, jak głęboko w środku coś go gwałci, znieważa. — Nie możesz zabierać mi mojego życia!

Nagle Ni pchnął go. Jo pośliznął się i upadł na pokład; poeta stanął nad nim, cały rozdygotany.

— Z czego, do diabła, wnioskujesz, że jest twoje? Może to ty mi je zabrałeś. Jak to się dzieje, że nigdy nie udaje mi się nic skończyć? Jak to jest, że za każdym razem, gdy dostaję pracę, zakochuję się, płodzę dziecko, nagle coś mnie odrywa i ciska na kolejną kupę gnoju, gdzie muszę zaczynać od początku cały ten młyn? Czy to ty mi to robisz? Czy to ty odrywasz mnie od tego co moje i zabierasz dla siebie wszystkie te wspaniałe życia, które zaczynam? — Nagle zamknął oczy i zarzucił lewą dłoń na prawe ramię. Z głową odchyłoną do tyłu wysyczał w sufit: — Boże, mówiłem to już tyle razy! Jakież to nudne, do diabła! Jakież nudne! — Przeorał ramię pazurami, i pięć strumyczków krwi spłynęło mu na pierś; na jedno straszliwe mgnienie w pamięci Jo błysnęło, jak uciekał przed śmiechem Lilly, a potem stał, zaciskając powieki, z odchyłoną do tyłu głową i tak samo przeciągał szponami po ramieniu. Otrząsnął się z tego wspomnienia i zamrugał. Na ramieniu Ni Tają pod ścieżką świeżych ran było dużo starych, zasklepionych blizn.

— Ciągły powrót, ciągle na nowo, bez przerwy to samo jeszcze raz i jeszcze raz, I JESZCZE RAZ! — krzyczał Ni Taj.

Zatoczył się ku drzwiom.

— Stój! — Jo przekręcił się na brzuch i gramoląc się z ziemi, zaczął gonić Ni Tają na kolanach. — Co chcesz zrobić? — Rzucił się między niego a drzwi i zagroził je ręką.

Ni Taj objął szponiastą dłonią przedramię Jo. Jo potrząsnął głową; — kiedyś Billy James zastąpił mu drogę u wyjścia z zagrody, a on w ten sam sposób objął swymi pazurami rękę chłopca i tak to się wszystko zaczęło.

— Wsiądę do swojego statku — powiedział spokojnie Ni Taj — a potem skieruję go na słońce i wcisnę gaz do dechy. Raz już to zrobiłem, ze śmiechem na ustach. Tym razem pewnie będę płakał. I lepiej żeby to było, psiakrew, ciekawe.

— Ale dlaczego?

— Bo któregoś dnia — twarz Ni Tają wykrzywiła się z wysiłku, gdy cedził te słowa — ktoś inny zacznie spadać na jakieś srebrne słońce, najpierw śmiejąc się, a potem płacząc, i przypomni sobie, że już o tym czytał, i nagle pojmie, rozumiesz? pojmie, że nie jest jedynym, który...

— Ale nikt nigdy nie przeczyta tego, co masz do powiedzenia o...

Ni Taj odtrącił ramię Jo i pobiegł przez rękaw połączeniowy o mało nie wpadając przy tym na Dika, który właśnie wchodził do kabiny z plikiem papierów w pysku.

Rękaw oderwał się z cmoknięciem i organopiana zawirowała, zasklepiając się za zamkniętymi drzwiami sterowni. Jo zobaczył, jak Ni Taj Li pochyła się nad sterami; potem stał, przyciskając ręce i twarz do iluminatora, podczas gdy autopilot wynosił wydrażony meteoryt w blask słońca. Jo patrzył za nim, mrużąc oczy do bólu. Szloch, który dobiegał przez interkom, trwał jeszcze może minutę po tym, jak statek zniknął z zasięgu wzroku.

Jo otarł ręką pot z czoła i odwrócił się plecami do ściany.

Dik siedział na pliku papierów, gryząc zawinięty róg jednej z kartek.

— A to co takiego?

— Wiersze Ni Taj Li — odparł Wielgus. — Ostatni zbiór, nad którym pracował.

— Dik, wykradłeś je z jego statku? — zażądał wyjaśnień Jo.

— Mając do czynienia z kimś takim, jedyne co można zrobić, to pozbawić go dzieła, zanim zdąży je zniszczyć. W ten sam sposób uzyskaliśmy resztę jego znanych utworów. To wszystko już się kiedyś stało — powiedział zmęczonym głosem Wielgus.

— Ale Dik o tym nie wiedział — rzekł Jo. — Zwyczajnie to ukradłeś, czy nie tak? — Próbował nadać słowom ton nagany.

— Nie doceniasz tego swojego diabelskiego kociaka — powiedział Wielgus. — Umysł ma bynajmniej nie rozdrożny.

Jo schylił się i wyciągnął kartki spod Dika, który w końcu przetoczył się na bok i parę razy łapami pacnął go po rękach. Zaniósł papiery na pulpit i wczółgał się pod blat.

Kiedy Jo wyłonił się stamtąd trzy godziny później, podszedł wolno do szklanej ściany i kolejny raz, mrużąc oczy, spojrzał na białego karła. Potem odwrócił się, zagrał trzy tony na okarynie i opuścił rękę.

— To chyba najbardziej wielodrożna osobowość, jaką poznałem w życiu.

— Być może — rzekł Wielgus. — Ale teraz i ty taką masz.

— Mam nadzieję, że on nie spadnie na to słońce — powiedział Jo.

— Nie spadnie, jeśli między nami a słońcem odkryje coś ciekawego.

— Nie ma tam zbyt wiele.

— Nie trzeba wiele, by zaciekawic umysł kogoś takiego jak Ni Taj Li.

— Mówiłeś kiedyś o wielodrożności i rozumieniu różnych punktów widzenia. On zupełnie przejął mój punkt widzenia; miałeś rację, to było niesamowite.

— Słuchaj, umysł musi sam być wielodrożny, aby pojąć wielodrożność innego umysłu.

— Teraz już wiem, dlaczego tak jest — powiedział Jo. — On korzystał ze wszystkich swoich przeżyć, aby zrozumieć moje. Dlatego trochę dziwnie się czułem.

— Wiesz, napisał te wiersze, zanim jeszcze dowiedział się, że istniejesz.

— Zgadza się. Ale przez to wszystko wygląda jeszcze dziwniej.

— Obawiam się — rzekł Wielgus — że ułożyłeś swój sylogizm na odwrót. To ty korzystałeś ze swoich przeżyć, aby go zrozumieć.

— Poważnie?

— Ostatnio spotkało cię dużo przeżyć.

Ułóż je wielodrożnie i staną się wyrażniej sze. A gdy już będą wystarczająco wyraźne, pozostanie jeszcze dość chaosu, byś mógł zadać odpowiednie pytanie.

Jo przez chwilę milczał i układał. Po czym powiedział: — Jak nazywał się LII, na którym opiera się twoja świadomość?

— Muels Aranlyde — odparł Wielgus.

Jo obrócił się do okna. — Zatem to wszystko już się kiedyś wydarzyło.

Po kolejnej minucie ciszy Wielgus odezwał się: — Wiesz, że będziesz musiał odbyć ostatni etap podróży beze mnie.

— Właśnie zacząłem to sobie układać — powiedział Jo. — Wielodroźnie.

— Świetnie.

— Będę się cholernie bał.

— Nie musisz — powiedział Wielgus.

— Dlaczego?

— Masz w swojej sakwie skryzalizowanego Trytowianina.

Oczywiście miał na myśli mnie. Mam nadzieję, że nie zapomnieliście o mnie, w przeciwnym razie reszta tej opowieści stanie się dla was niezrozumiała.

— Co mam z nim zrobić? — zapytał Jo.

Położył mnie w aksamitnej wyściółce na pulpicie. Światła wysoko pod sufitem sterowni były przyćmione, a wokół każdego z nich w mgiełce pochodzącej z nawilzaczy widniało halo.

— Co maksymalnie wielodroźnego możesz robić, kiedy nie jesteś pewien, co robić?

— Zadawać pytania.

— Pytaj więc.

— Czy on odpowie?

— Istnieje łatwiejszy sposób, aby się o tym przekonać, niż pytanie mnie — rzekł Wielgus.

— Chwileczkę — powiedział Jo. — Muszę uporządkować swoje postrzeganie wielodroźnie i może mi to zająć trochę czasu. Nie jestem do tego przyzwyczajony. — Po chwili zapytał: — Dlaczego będę musiał przyłączyć się do Armii Imperium i służyć księciu Naktorowi?

— Znakomicie — powiedział Wielgus. — Sam się nad tym zastanawiałem.

Dlatego — nadałem — że z armią będzie ci po drodze. Możliwość mówienia sprawiła mi wielką ulgę. Ale to po prostu jedna z niedogodności krystalizacji: można odpowiadać tylko na pytania zadane wprost.

Nawiasem mówiąc, w czasie jaki upłynął pomiędzy stwierdzeniem Jo: „Nie jestem do tego przyzwyczajony” a ostatnim pytaniem, z głośników rozdarła się stacja radiowa i głos księcia Naktora oznajmił, że wszyscy znajdujący się w okolicy podlegają natychmiastowej rekrutacji, co Wielgus skomentował: — Zdaje się, że to rozwiązuje twój problem. — Tak więc w pytaniu Jo nie ma nic tajemniczego. Chcę tu podkreślić, przez wzgląd na tych, którzy wciąż jeszcze śledzą moją argumentację, że wielodrożność jest w całkowitej zgodzie z prawami logiki. Pomiąłem ten incydent, bo uznałem, że rozprasza on uwagę, a przyjąwszy, iż z pytania Jo jasno wynika, co się zdarzyło, byłem pewien, że wielodrożny czytelnik wszystko sobie dopowie. W trakcie mojej opowieści kilkakrotnie już dokonałem podobnego zabiegu.

— Dlaczego nie mogę po prostu dostarczyć wiadomości i wrócić do swoich spraw? — zapytał Jo.

W postaci krystalicznej ma się pozorną aktywność, polegającą na zadawaniu pytań retorycznych. Czy jesteś gotów dostarczyć wiadomość? — nadałem.

Jo uderzył obiema pięściami w pulpity. Sterownia zdawała się trząść, gdy zakołysałem się w tył i w przód.

— Gurga! C o t o za wiadomość? Tego się muszę dowiedzieć. Jak ona brzmi?

Przybył ktoś, kto wyzwoli LII.

Jo wstał i rysy jego młodej twarzy pogłębiła troska. — To bardzo ważna wiadomość. — Troska

zamieniła się w mars niezadowolenia.

— Kiedy będę gotów ją dostarczyć? Kiedy tylko przybędzie ktoś, kto ich wyzwoli.

— Ale przebyłem całą tę drogę... — Jo urwał. — Ja? Ja mam ich wyzwolić? Ależ... Mogę być gotów dostarczyć wiadomość, lecz skąd mam wiedzieć, czy jestem gotów ich wyzwolić?

Jeśli tego nie wiesz — nadałem — to najwyraźniej wiadomość jest inna.

Jo miał zamęt w głowie i było mu wstyd.

— Ale nie powinna być — powiedział.

Nie stawiał żadnych pytań, nie mogłem więc nic nadawać. Ale Wielgus odpowiedział za mnie:

— Wiadomość nie jest inna, ale źle ją zrozumiałeś. Spróbuj wymyślić interpretację, która nie zawiera w sobie sprzeczności.

Jo odwrócił się od pulpitu.

— Za mało widzę w tym sensu — powiedział zniechęcony.

— Czasami trzeba patrzeć oczami innych

— odparł Wielgus. — Rzekłbym, że gdybyś w tym miejscu mógł spojrzeć oczami Klejnota, wyświadczyłbyś sobie wielką przysługę.

— Dlaczego?

— Po prostu coraz bardziej zaczynasz interesować się losami LII i naszymi zmaganiem w walce o wolność. Spośród ras różnych od LII Trytowianie są najaktywniejsi w tych zmaganiach. Poza tym znacznie ułatwiłoby ci to karierę wojskową.

— Czy to się da zrobić? — spytał Jo.

— To bardzo prosty zabieg — powiedział Wielgus. — Możesz przeprowadzić go własnoręcznie. Idź po Trytowianina.

Jo wrócił do pulpitu i podniósł mnie z aksamitnej wyściółki.

— Teraz podwiń sobie prawą powiekę.

Jo zrobił to. I zrobił parę innych rzeczy zgodnie ze wskazówkami Wielgusa. Po minucie krzyknął z bólu, okręcił się na pięcie i padł na kolana, zakrywając twarz rękami.

— Ból za chwilę przejdzie — powiedział spokojnie Wielgus. — Mogę dać ci płyn do przemywania oczu, jeśli bardzo mocno cię kłuje.

Jo potrząsnął głową.

— To nie ból, Wielgusie — rzekł. — Widzę. Widzę ciebie i siebie, i Dika, i Klejnota, tylko że wszystkich naraz. I widzę czekający na mnie statek wojenny, i nawet księcia Naktora. Ale statek jest o dwieście siedemdziesiąt kilometrów stąd, a Dik jest za mną, a ty wokół mnie, a Klejnot wewnątrz mnie, a ja... ja już nie jestem sobą.

— Lepiej spróbuj przez chwilę poćwiczyć chodzenie — powiedział Wielgus. — Początkowo szczególną trudność sprawiają kręcone schody. Chociaż może lepiej przywyknij najpierw do siedzenia i myślenia. Potem przejdziemy do bardziej skomplikowanych rzeczy.

— Nie jestem już sobą — rzekł cicho Jo.

— Zagraj na okarynie — zaproponował Wielgus.

Jo przyglądał się samemu sobie, jak wyjmuje instrument z sakwy i przykłada go do ust; widział, jak zamykają mu się powieki, jedna na lewym oku, druga na migotliwym zjawisku, które zastąpiło prawe. Usłyszał, jak zaczyna grać długą, powolną melodię, i z zamkniętymi oczami patrzył, jak Dik podchodzi do niego niepewnie, a potem szturcha go nosem w kolana.

Jakiś czas później Jo powiedział: — Wiesz, Wielgusie, obawiam się, że rozmowa z Klejnotem nic mi nie dała.

— Z pewnością mniej niż patrzenie przez niego.

— Wciąż mam bardzo mgliste pojęcie o tej wiadomości.

— Musisz być dla niego wyrozumiały. Najbardziej wielodrożne umysły zmieniają się w zupełnie linearne, kiedy ktoś staje się tak wojowniczy jak on. Ale serce ma na właściwym miejscu. Tak naprawdę to powiedział ci sporo, jeśli tylko spojrzysz na to wielodrożnie. Jo ujrzał wyraz skupienia na swojej twarzy. Przemknęło mu przez głowę, że oczy ma raczej rozbiegane, jak u rozgorączkowanej wiewiórki blond w diamentowym monoklu.

— Wiadomość muszą stanowić słowa: „Przybył ktoś, kto wyzwoli LII” A ja muszę być gotów wyzwolić LII. Tylko że to nie ja ich wyzwolę. — Czekał, aż Wielgus pochwali jego tok rozumowania. Tymczasem jednak zapadła cisza. Ciągnął więc dalej: — Szkoda, że to nie będę ja. Ale domyślam się, że nie stanie się tak z jakichś ważnych powodów. Prócz tego, muszę być gotów dostarczyć tę wiadomość. Jedyne tak naprawdę sposobem, w jaki mogę się do tego przygotować, to upewnić się, że ten, kto ma wyzwolić LII, jest gotów to uczynić.

— Bardzo dobrze — powiedział Wielgus.

— Tylko gdzie odnajdę tego kogoś i jak się upewnię, że jest on gotów oswobodzić LII?

— Może będziesz musiał sam go do tego przygotować.

— Ja?!

— Przeszedłeś całkiem niezłe kształcenie w ciągu ostatnich kilku miesięcy. Będziesz musiał teraz podzielić się swoją wiedzą z kimś równie rozdrożnym jak ty na początku wędrówki.

— I utracić resztki indywidualności, które pozostawił mi Ni Taj?

— Tak.

— No to nie zrobię tego — powiedział Jo.

— Och, dajże spokój.

— Słuchaj, obrabowano mnie z dawnego życia. A teraz chcesz, żebym sam oddał to nowe komuś innemu. Nie zrobię tego.

— To bardzo egoistyczny sposób na...

— Poza tym wiem już na tyle dużo o kulturach rozdrożnych, że rozumiem, iż przy pomocy wojska można by potrząsnąć jednym czy dwoma członkami którejś z tych kultur wyłącznie przez jej zniszczenie. A tego nie zrobię.

— Ach — powiedział Wielgus. — Doszedłeś do tego.

— Tak, doszedłem. I byłoby to bardzo bolesne.

— Zniszczenia nastąpią niezależnie od tego, czy udasz się tam czy nie. Jedyne różnica polegać będzie na tym, że nie będziesz w stanie dostarczyć swojej wiadomości.

— Czy ten ktoś nie będzie gotów beze mnie?

— Sęk w tym, że nie będziesz mógł się o tym przekonać.

— Zaryzykuję — zdecydował Jo. — Polecę zupełnie gdzie indziej. Postawię na to, że wszystko i tak potoczy się jak najlepiej, czy będę tam czy też nie.

— Nie masz nawet pojęcia, jak ryzykowne jest takie posunięcie. Słuchaj, mamy trochę czasu. Zróbmy małe zejście z kursu. Chcę ci pokazać coś, co zmieni twoją decyzję.

— Wielgusie, nie sądzę, żebym akurat teraz mógł znieść wystawienie na od dawna zniewalanych, wykorzystywanych i cierpiących LII. To do nich chcesz mnie zabrać, prawda?

— Cierpienie LII to coś, co nie dotyczy LII, tylko ciebie samego — powiedział Wielgus. — Niemożliwością jest zrozumieć cierpienie LII z punktu widzenia LII, chyba że jest się jednym z nich. Zrozumienie to jedna z tych rzeczy, przed którymi zabezpiecza je Imperium. Nawet sami LII nie potrafią zgodzić się co do tego, co w ich położeniu jest takie okropne. Ale wszyscy są wystarczająco jednomyślni, byś musiał przyznać mi rację. Istnieją pewne bariery, których wielodrożność nie potrafi

przekroczyć. Od czasu do czasu udaje jej się przełamać je z hukiem, ale jest to bardzo trudne i żłobi w ziemi blizny. A pogodzenie się z nieprzekraczalnością barier jest pierwszym krokiem na drodze do tych barier zniszczenia. Pokażę ci coś, co będziesz mógł ocenić tak drożnie, jak tylko zechcesz. Idziemy pomówić z San Severiną.

— Czy to jedna z tych planet, które odbudowała przy pomocy LII? — zapytał Jo. Przypatrzwszy się srebrzystym ulicom opustoszałego miasta, wrócił w końcu spojrzeniem do łagodnych, zalesionych wzniesień, które docierały aż do skraju zmarszczonej bryzą tafli jeziora za jego plecami.

— To jedna z nich — odpowiedział Oskar. — Pierwsza, którą ukończono i ostatnia, która zostanie na nowo zaludniona.

— Dlaczego? — spytał Jo, stawiając krok na krawężniku za świeżym żelaznym okratowaniem studzienki ściekowej. Niebieskawe słońce płonęło w spiralnym oknie obiegającym wieżę po ich lewej stronie. Po prawej stała wspaniała pusta fontanna. Kiedy, skręciwszy, przechodzili koło niej, Jo przebiegł palcami po suchej granitowej krawędzi jej dwunastometrowego basenu.

— Dlatego, że ona jest tutaj.

— Ile jeszcze pracy pozostało do zrobienia?

— Odbudowano już wszystkie planety.

117

Odrestaurowano czterdzieści sześć cywilizacji. Ale najwięcej czasu zajmują systemy etyczne. Będzie z nimi roboty jeszcze przez jakieś pół roku albo dłużej. — Oskar wskazał na czarne metalowe drzwi wysadzone mosiężnymi ćwiekami. — Tędy.

Jo popatrzył wokoło na olbrzymie wieżycy.

— Jak tu pięknie — powiedział. — Naprawdę pięknie. Teraz już zaczynam rozumieć, dlaczego chciała to odbudować.

— Wchodź — powiedział Oskar. Jo wszedł do środka.

— Schodami w dół.

Ich kroki odbijały się echem w półmroku szerokiej spiralnej klatki schodowej.

— Teraz tędy. — Oskar pchnął kolejne, mniejsze drzwi tkwiące w szarej kamiennej ścianie.

Przekraczając próg, Jo pociągnął nosem.

— Dziwnie tu pach...

Była naga.

Przeguby jej rąk i nóg przykuto łańcuchami do podłogi.

Kiedy szare ostrze światła padło na jej zgarbione plecy, szarpnęła się w kajdanach i zawyła. Jej wargi skurczyły się, obnażając zęby, które wcześniej nie wydawały się Jo takie długie. Wycie urwało się zgrzytliwym chrapnięciem.

Patrzył na nią.

Patrzył na siebie, jak patrzy na nią i jak się cofa, popychając drzwi, które zatrząskują się ze szczękiem za jego plecami.

Ciągły wysiłek wykształcił i utwardził mięśnie jej ramion. Szyję pokrywały sznury mięśni; skudłane włosy zwisały do połowy twarzy. „Grzebień! — pomyślał bez sensu. — O rany, czerwony grzebień!” I patrzył, jak jego prawdziwe oko zachodzi łzami. To drugie pokryło się wyschniętą skorupą..

— Tutaj ją teraz trzymają — odezwał się Oskar. — Łańcuchy są akurat na tyle krótkie, żeby nie mogła się zabić.

— Kto...

— Pamiętasz, było dwudziestu sześciu innych. Och, dawno już przeszła przez etap, na którym uwolniłaby LII, gdyby mogła. Teraz pozostali utrzymują ją tu w ten sposób. A jej LII pracują dalej.

— To niesprawiedliwe! — krzyknął Jo. — Dlaczego ktoś jej nie wypuści?!

— Wiedziała, czego się podejmuje. Powiedziała im na początku, że będą musieli to zrobić. Znała granice swoich możliwości. — Oskar zrobił kwaśną minę. — Siedmiu. Nikt nigdy sam nie posiadał tylu naraz. To naprawdę zbyt wielu. A smutek rośnie w miarę jak LII budują. Geometrycznie. Tak jak cena.

Jo wpatrywał się w nią przerażony, zafascynowany, rozdarty wewnątrz.

— Przyszedłeś tu, żeby z nią pomówić — powiedział Oskar. — Nie krępuj się.

Jo ostrożnie postąpił w przód i zobaczył siebie, jak to robi. Na przegubach jej rąk i nóg było pełno strupów.

— San Severino?

Cofnęła się ze zdławionym w gardle dźwiękiem.

— San Severino, muszę z panią pomówić. Cienki strumyczek krwi spłynął wężykiem po ścięgnach na grzbiecie jej lewej dłoni.

— Czy może pani coś powiedzieć? San Severino...

Z łoskotem łańcuchów rzuciła się na niego, zatraskując szczęki na tym, co byłoby jego nogą, gdyby nie odskoczył. Przygryzła sobie język i upadła, wrzeszcząc, na kamienną podłogę z ustami zalanyymi krwią.

Jo widział tylko, jak łomocze pięściami w drzwi i jak Oskar go przytrzymuje. Oskar nacisnął klamkę i obaj wypadli na klatkę schodową. Oskar dyszał ciężko, gdy zaczęli wspinać się po stopniach. — Niemalże było mi jej żal — powiedział w połowie drogi na górę.

Wstrząśnięty Jo odwrócił się na schodach do niego. — Nie jest ci...

— Żal mi LII — rzekł Oskar. — Pamiętaj, że jestem jednym z nich.

Jo przyglądał się sobie, jak niosąc swoje zmieszanie, podejmuje dalszą wspinaczkę po schodach. — A mnie jest żal jej — powiedział.

— Na tyle, że zaciągniesz się do armii? — zapytał Oskar.

— O, gurga! — zaklął Jo. — Tak.

— Miałem taką nadzieję.

Kiedy wydostali się przez drzwi z powrotem na ulicę, Jo zmrużył oczy w świetle. — Ni Taj — odezwał się po chwili. — On mówił, że parę dni temu rozmawiał z San Severiną.

Oskar skinął głową.

— Tutaj? Widział ją w takim stanie? Oskar znowu przytaknął.

— Więc i to już przeżył — powiedział Jo. Ruszył wzdłuż ulicy. — Mam nadzieję, że dotarł do tego słońca.

— Czy nie mogli czymś jej uspić albo może wprowadzić w hipnozę? — zastanawiał się Jo, znów patrząc w zamyśleniu przez szklaną ścianę sterowni.

— Kiedy usypia, jej LII przestają pracować — wyjaśnił Wielgus. — To jedna z klauzuli kontraktu. Aby LII funkcjonowali, ich właściciel musi być bez przerwy świadomym właścicielem.

— Tego mniej więcej się domyślałem. Ale jak można być pewnym, że ona jest świadoma czegokolwiek w skórze tego... tego zwierzęcia? Czy ktoś potrafi się z nią porozumieć?

— To zwierzę jest jej zabezpieczeniem — odparł Wielgus. — Czy jesteś gotów odejść?

— Tak czy owak, nigdy nie będę bardziej gotów niż teraz.

— Chcę zatem, abys zabrał ze sobą parodroźne twierdzenie, które wymaga wielodroźnego potwierdzenia: Jedynymi liczącymi się elementami każdego społeczeństwa są artyści i przestępcy,

gdyż jedynie oni, kwestionując wartość tego społeczeństwa, zmuszają je do zmian.

— Czy to prawda?

— Tego nie wiem. Nie próbowałem potwierdzić tego wielodroźnie. Ale pozwól, że powiem ci jeszcze, iż ty zmienisz społeczeństwo. Nie masz za sobą praktyki, dzięki której mógłbyś dokonać tego drogą artystyczną jak, powiedzmy, Ni Taj Li.

— Już chwyciłem, Wielgusie — powiedział Jo. — Wielgusie, dokąd właściwie udaje się armia?

— Do Gwiazdy Imperium. Masz już jakiś pomysł na swoją pierwszą akcję przestępczą? Jo zawahał się przez chwilę.

— No wiesz, zanim powiedziałaś mi, co jest naszym punktem docelowym, sądziłem, że będzie to dezercja. Teraz nie jestem już taki pewien.

— To dobrze — rzekł Wielgus. — Do widzenia, Jo.

— Do widzenia.

Prawie natychmiast Jo zdecydował, że nie lubi armii. Znajdował się na piętnastokilometrowym statku od trzech minut, pałętając się wraz z całą resztą rekrutów, gdy obok przemaszerował książę Naktor. Rekruci cofnęli się, i książę Naktor zobaczył Dika. Diabelski kociak kręcił łapami młyńca w powietrzu i szczebiotał. Kiedy Jo podszedł, żeby wziąć go na ręce, książę Naktor zapytał:

— Czy to twoje?

— Tak jest — odpowiedział Jo.

— Cóż, nie możesz tego wnieść na pokład.

— Tak jest — powiedział Jo. — Bezzwłocznie się tym zajmę.

Z jego ulepszoną wizją nie sprawiło mu problemu odszukanie na pancerniku miejsca, w którym mógłby schować Dika. Miejsce to przeorganizowano parę lat wcześniej; usunięto wiele starego wyposażenia, wymieniając je na zajmujące mniej miejsca elementy. Stara sala widokowa, która mieściła fotoregenerator bezpośredniego kontaktu, została usunięta i segment szklanościennego kadłuba, początkowo używany jako magazyn niepotrzebnych nikomu rzeczy, został zapieczętowany.

Jo wymknął się, buchnął klucz krotenowy z szafki obsługi technicznej i odnalazł zapieczętowaną śluzę. Za pomocą klucza zerwał pieczęcie, psyknięciem nakazał Dikowi wejść w ciemność i zaczął zamykać drzwi. Nagle przyszedł mu do głowy pewien pomysł. Wrócił do szafki z narzędziami i wziął szablon literniczy, puszkę żółtej farby oraz pędzel. Na drzwiach do śluzy napisał drukowanymi literami:

WSTĘP TYLKO DLA OSÓB J O

Wrócił na górę w samą porę, żeby odebrać mundur i ekwipunek. Kwatermistrz zażądał od niego karty przydziałowej. Jo wyjaśnił, że jej nie ma. Kwatermistrz poszedł zbesztać główny komputer. Jo wrócił do śluzy i wszedł do środka. Był tam niewielki korytarz; Jo musnął głową sufit i jego żółte włosy pokrył kurz. Wtedy usłyszał muzykę.

Słyszał już kiedyś podobny instrument, dawno temu, kiedy był jeszcze kosmoluchem. Gitarę Rona. Tylko że na tej gitarze grano inaczej, znacznie szybciej. A głos — nigdy jeszcze nie słyszał takiego głosu. Był powolny i pełny, jak dźwięk jego okaryny.

Czekał, opierając się pokusie, by wyrzeć.

Wysłuchał całej piosenki, a potem melodia się powtórzyła, więc wziął swoją okarynę i zaczął wtórować śpiewowi. Śpiew umilkł; gitara umilkła. Jo dokończył melodię, a potem wyszedł z ukrycia.

Siedziała na podłodze przed stosem kryształowych bloków. Przez szklaną ścianę statku wpadało

białe światło Ekwisigny. Podniosła wzrok znad gitary i jej twarz — była to piękna twarz, o doskonałych rysach, ciemna, otoczona ciężkimi brązowymi włosami, które opadały jej na ramię — wykrzywiła się w grymasie strachu.

— Co tu robisz? — spytał Jo.

Cofnęła się i oparła plecami o ścianę z kryształowych bloków, płasko przyciskając dłonią jasnożółte pudło gitary; jej palce ześlizgiwały się po drewnie i zostawiały połyskliwe smugi na politurze.

— Widziałaś Dika? — zapytał Jo. — Diabelski kociak, mniej więcej tej wielkości, rogi, osiem nóg. Wszedł tu jakiś kwadrans temu.

Potrząsnęła głową tak gwałtownie, że zrozumiał, iż negacja ma charakter ogólny i nie jest związana konkretnie z jego pytaniem.

— Kim jesteś? — spytał.

Właśnie wtedy Dik wyszedł zza bloków kryształu, dał susa pod nogi dziewczyny, przewrócił się na grzbiet, zaczął wierzgać łapami w powietrzu i miauczeć z wywieszonym ozorem — i, krótko mówiąc, zachowywać się zupełnie rozbrajająco. Jo wyciągnął nogę i podrapał Dika po brzuchu gołym paluchem. Jo wciąż jeszcze był nagi po badaniu przez komisję lekarską i miał mundur przewieszony przez ramię.

Dziewczyna ubrana była w białą bluzkę sięgającą jej do samej szyi i w ciemną spódniczkę sięgającą jej tuż za kolana. Cokolwiek przerażało ją w Jo, było, zdaje się, ukryte pod jego umundurowaniem, gdyż wpatrywała się w nie, jakby próbowała przeniknąć je wzrokiem. Po drzeniu mięśni twarzy dziewczyny widać było, że w myśli jej wkrada się coraz większy zamęt.

— Podoba mi się twoje śpiewanie — powiedział Jo. — Nie musisz się mnie bać. Na imię mam Jo. Co tutaj robisz?

Nagle z całej siły zacisnęła powieki, upuściła gitarę na kolana dnem do góry i przyłożyła rękę do uszu.

— Śpiewanie — rzekła szybko. — Po prostu sobie śpiewam. No wiesz, śpiewanie to najważniejsza rzecz na świecie. Nie robię nikomu nic złego. Nie, nic nie mów. Nie odpowiem na żadne pytanie.

— Może chcesz jakieś zadać? — spytał Jo. — Wyglądasz na niezłe zdezorientowaną.

Potrząsnęła głową, a potem wciągnęła ją między ramiona, jakby w obawie przed ciosem.

Jo zmarszczył brwi i przesunął usta najpierw na jedną stronę twarzy, potem na drugą. Przygryzł sobie od wewnątrz wargę i w końcu powiedział:

— Nie wierzę, żebyś naprawdę była tak rozdrożna. — Dziewczyna tylko jeszcze bardziej wtuliła się w bloki kryształu. — Wiesz, tak naprawdę to ja nie jestem żołnierzem.

Podniosła głowę. — To po co ci ten mundur?

— O, widzisz! Właśnie zadałaś pytanie.

— Och! — Usiadła i zakryła usta dłonią.

— Mam mundur, ponieważ o mało co nie zostałem żołnierzem. Muszę zakładać go tylko wtedy, gdy wychodzę na zewnątrz. Jeśli tak cię przeraża, mogę go odłożyć.

Rzucił mundur na stos kryształów. Dziewczyna opuściła ramiona i najwyraźniej się odprężyła.

— Ukrywasz się przed żołnierzami — powiedział wolno Jo. — Wolisz, żeby uważali cię za rozdrożna, w razie gdyby cię spotkali. Czy ty też lecisz do Gwiazdy Imperium?

Kiwnęła głową.

— Kim jesteś?

Podniosła gitarę. — Wolalabym nie mówić. Nie dlatego, że ci nie ufam. Po prostu im mniej

osób na tym statku wie, tym lepiej.

— Dobrze. Może wobec tego zechcesz odpowiedzieć na inne pytanie?

— Tak. Ci wszyscy żołnierze pod wodzą księcia Naktora lecą do Gwiazdy Imperium, żeby mnie zabić, chyba że zjawię się tam przed nimi.

— To nie jest odpowiedź na pytanie, które chciałem ci zadać.

Była strasznie zakłopotana.

— Ale myślę, że i tak jest całkiem niezła — uśmiechnął się Jo.

Wyciągnęła rękę i podrapała Dika po brzuchu.

— Kiedyś nauczę się, na czym polega ten numer: „odpowiedz nie pytana” Robi takie doskonałe wrażenie, kiedy wychodzi. Myślałam, że zapytasz, o co chodzi w tej całej sprawie.

Jo zrobił zaskoczoną minę. Potem roześmiał się.

— Ukrywasz się przed żołnierzami tuż pod ich nosem! Ależ to wielodrożne! Niezwykle wielodrożne! — Krzyżując nogi, usiadł na podłodze naprzeciw Dika.

— Poza tym, jeśli polecę z nimi, jest raczej pewne, że nie dostanę się na miejsce po nich. W najgorszym razie przybędziemy w tym samym czasie. — Zacisnęła usta. — Ale muszę coś wymyślić, żeby dostać się tam pierwsza.

Jo także podrapał Dika i ich ręce zetknęły się kostkami palców. Jo uśmiechnął się szeroko.

— Chciałem cię właściwie zapytać, skąd pochodzisz. Wiem, dokąd lecisz, i gdzie jesteś teraz.

— Och — powiedziała. — Czy znasz Perrypicker?

— Kogo?

— Nie kogo, tylko co. Akademię Wychowania dla Młodych Dam Panny Perrypicker.

— Cóż to jest?

— Stamtąd właśnie pochodzę. To absolutnie paskudne miejsce, dokąd wysyłane są w zasadzie miłe dziewczęta z najlepszych domów i gdzie uczy się je, jak zachowywać się tak rozdrożnie, że nawet byś nie uwierzył.

— Ja ci nie uwierzyłem — powiedział Jo. Zaśmiała się.

— Jestem jedną z porażek panny Perrypicker. Mają tam może i dużo fajnych rzeczy: tenis, antygrawisiatkę, piłkę wodną, szczypiorniaka na cztery bramki — to najbardziej lubiłam — i trójwymiarowe szachy. Wśliznęło się tam nawet paru nauczycieli, którzy rzeczywiście coś wiedzieli. Ale śpiewać i grać na gitarze, a tak naprawdę to właśnie lubię najbardziej, nauczyłam się sama.

— Bardzo dobrze ci to wychodzi.

— Dzięki. — Wyczarowała ze strun opadający ciąg akordów, a spomiędzy jej rozchylnych ust wytrysnęła pieśń unosząca się w powolnych, zadziwiających interwałach, trącających inne struny — czułe struny takiego współczucia, przyjemności, tęsknoty i radości, jakich Jo nie doświadczał od czasów, kiedy śpiewał dla LII.

Urwała. — To jedna z pieśni ułożonych przez LII. Jedna z moich ulubionych.

— Jest piękna — powiedział Jo, mrugając dziwnie. — Śpiewaj dalej. Dokończ, proszę.

— To już cała — odparła. — Bardzo krótka. Tylko te sześć tonów. Czyni, co powinna, i się kończy. Wszystko, co robią LII, jest bardzo ekonomiczne.

— Och — powiedział Jo. Pieśń rozlała się po jego umyśle niczym oleista plama tęczy, kojąca, rosnąca.

— Zaśpiewam jakąś in...

— Nie — przerwał Jo. — Pozwól mi pomyśleć chwilę o tej.

Uśmiechnęła się i w ciszy opuściła rękę znad strun.

Dłoń Jo błędziła zygzakami po brzuchu Dika. Diabelski kociak prychnął cichutko.

— Powiedz mi — odezwał się Jo — dlaczego książę Naktor chce cię zabić przy Gwieździe Imperium?

— Mój ojciec jest ciężko chory — wyjaśniła. — Wezwano mnie do domu z Perrypicker, bo zanosi się na to, że on umrze lada dzień. Kiedy to się stanie, odziedziczę po nim stery Imperium — jeżeli będę na miejscu. Jeśli nie, uchwyci je książę Naktor. Cały czas trwa między nami wyścig.

— Jesteś księżniczką Imperium? Przytaknęła.

— Musisz być bardzo ważną osobą — powiedział Jo z mieszaniną zdumienia i podziwu w głosie.

— Będę nikim, jeśli nie pokonam Naktora. Od lat czekał na tę chwilę.

— Dlaczego to ty masz przejąć stery, a nie Naktor?

— Choćby dlatego, że ja mam zamiar wyzwolić LII. Książę Naktor chce utrzymać ich pod swoją protekcją.

— Rozumiem. — Skinął głową i objął rękami kolana. — Jak zamierzasz tego dokonać i dlaczego Naktor nie chce tego zrobić?

— Względy ekonomiczne — odparła dziewczyna. — Mam poparcie dwudziestu sześciu najbogatszych ludzi w Imperium. Ufają, że będę umiała zająć się sprawą w sposób wielodrożny. Czekają przy Gwieździe Imperium na rezultat mojej konfrontacji z Naktorem. Odmawiają Naktorowi poparcia, więc pozostała mu tylko armia. Chociaż on sam jest stosunkowo wielodrożnym człowiekiem, ma w ręku tylko jeden instrument nacisku. Kiedy można pchać tylko w jednym kierunku, równie dobrze można być rozdrożnym, czy tego się chce czy nie. Tak więc wszyscy oni czekają na mnie, zebrani w sali zgromadzeń o kolumnach z mosiądzu, podczas gdy mozaiki witraży rzucają niezliczone cienie na błękitne płyty posadzki, a gdzieś w kryształowym łożu spoczywa mój umierający ojciec...

— O, gurga — powiedział Jo poruszony.

— Nigdy tam nie byłam. Tylko czytałam o tym w powieści Muelsa Aranlyde'a. Wszyscy czytaliśmy jego polityczną trylogię u panny Perrypicker. Znasz to dzieło?

Jo potrząsnął głową. — Ja tylko...

— Tak?

— Chyba mam dla nich pewną wiadomość, dla tych z sali zgromadzeń.

— Naprawdę?

— Dlatego właśnie lecę do Gwiazdy Imperium. Muszę dostarczyć tam wiadomość i wydaje mi się, że jestem już dość bliski celu.

— Co to za wiadomość?

Jo w końcu puścił swoje kolana.

— Ty też nie kwapisz się powiedzieć mi, kim jesteś; myślę, że najlepiej, jeśli zatrzymam tę wiadomość dla siebie, dopóki nie dotrę do sali zgromadzeń.

— Ach, tak. — Próbowwała się tym zadowolić, ale w jej twarzy ciekawość przedzierała się przez maskę obojętności.

— Powiem ci tylko tyle — powiedział Jo, uśmiechając się półgębkiem — ona dotyczy LII.

— Ach, tak — powtórzyła, nieco wolniej.

Nagle podniosła się do klęczek i pochyliła nad gitarą. — Słuchaj, zawrzyjmy umowę! Nie dostaniesz się do sali zgromadzeń bez mojej pomocy ...

— Dlaczego?

— Nikt się tam nie dostanie. Wielkie oko energii, które broni dostępu do sali, otwiera się tylko przed dwudziestoma ósmioma wzorami fal mózgowych — może lepiej przestuduj to sobie u

Aranlyde'a. Dwadzieścia sześć jest już w środku. Mój ojciec umiera i wątpię, żeby jego sygnały były jeszcze rozpoznawalne. Zostają więc tylko ja. Pomogę ci dostać się do sali zgromadzeń, jeśli ty pomożesz mi pokonać księcia Naktora.

— Dobrze — odparł Jo. — Zgoda. To brzmi fair. Jakiej pomocy ci potrzeba?

— No cóż — powiedziała dziewczyna, siadając. — Masz mundur, więc możesz wymykać się stąd i na nowo wślizgiwać z powrotem.

Jo skinął głową i czekał, co dziewczyna powie dalej.

Ona tymczasem wzruszyła ramionami. Po chwili popatrzyła na niego pytająco.

— To już coś, prawda?

— To znaczy, że muszę sam wykombinować całą resztę — rzekł Jo. — Spróbuję. Jaką pomoc uzyskałaś do tej pory?

— Mam tu mały komputer, który obsługuje dla mnie zagłuszanie.

— Może i jestem mały — doszedł głos spod munduru Jo, który wisiał na stercie bloków — ale nie osiągnąłem jeszcze swojej maksymalnej wielkości.

— Co proszę? — zapytał Jo.

— To niejaki Wielgus — powiedziała dziewczyna. — Jest wielodrożnym..

— ...gawędziarzem uzdolnionym słowotwórczo — dokończył Jo. — No tak, poznałem już jednego. — Jo zorientował się w końcu, że przypadkowo leżące kryształy są blokami logicznymi. Ale było ich zadziwiająco mało. Przyzwyczał się oglądać je ułożone na dwudziestometrowej ścianie sterowni.

— To on wpadł na pomysł ukrycia się na pancerniku.

Jo skinął głową i wstał.

— Być może — powiedział — jeśli będziemy trzymać się razem, jakoś przebrniemy przez to wszystko. Choć mam przeczucie, że będzie to nieco skomplikowane. Słuchaj, od dawna chciałem o to zapytać: na którą właściwie planetę układu Gwiazdy Imperium lecimy?

Dziewczyna miała bardzo zdziwioną minę.

— Przecież nie lecimy do samego wnętrza gwiazdy, prawda?

Wielgus odezwał się: — On chyba nie wie. Naprawdę powinieneś poczytać Aranlyde'a.

— Tak, on chyba nie wie — powiedziała dziewczyna i przygryzła kostki palców. — Ja mam mu powiedzieć?

— Pozwól mnie.

— To znaczy, że ludzie naprawdę żyją we wnętrzu gwiazdy?

— Ludzie mogliby tam żyć — rzekł Wielgus. — Temperatura powierzchni Aurigae nie przekracza tysiąca — tysiąca stu stopni Celsjusza. To bardzo przyćmiona gwiazda, i nie byłoby trudno zaprojektować jakiś system chłodzenia, który sprowadziłby do rozsądnego...

— Nie żyją w jej wnętrzu — przerwała dziewczyna. — Ale wokół Aurigae nie krążą żadne planety.

— Dokąd więc...

— Pozwól mnie. Proszę cię — powtórzył Wielgus. — Aurigae jest nie tylko największą gwiazdą w całej galaktyce, o masie setki, a wielkości tysiące razy większej niż Soi. Nie jest to zwykła gwiazda...

— To wszystko jest bardziej złożone — zaczęła dziewczyna.

— Zwielodrożnione — poprawił ją Wielgus. — Aurigae od wieków znana jest jako gwiazda zaćmieniowa. Tak naprawdę siedem olbrzymich gwiazd, olbrzymich w porównaniu z Soi, wykonuje tam pewien skomplikowany, ale piękny taniec, jedna wokół drugiej.

— Wszystkie wokół jednego punktu — powiedziała dziewczyna — który stanowi centrum Imperium.

— Wirującego świata — rzekł Wielgus — nieruchomy punkt. To taka aluzja. Jest to centrum grawitacyjne całego tego potężnego wielodroźnia materii. To także centrum władzy Imperium.

— Ono jest kolebką sterów Imperium — dodała dziewczyna.

— Czy wyobrażasz sobie, jakim niewiarygodnym deformacjom ulegają w tym punkcie czas i przestrzeń? Rozrywane są tam włókna rzeczywistości. Czasowa terażniejszość i przestrzenna przeszłość łączą się w owym punkcie z możliwą przyszłością i wszystkie dokładnie się ze sobą mieszają. Jedynie najbardziej wielodroźne osobowości mogą dostać się tam i odnaleźć w momencie powrotu tę samą drogę, którą dostały się do środka. Człowiek zawsze przybywa we środek i wychodzi w czwartek, ale sto lat wcześniej i tysiąc lat świetlnych dalej.

— To szczelina czasoprzestrzenna — wyjaśniła dziewczyna. — Zgromadzenie kontroluje ją i w ten sposób utrzymuje władzę w rękę. Bo widzisz, jeśli możesz wybrać się w przyszłość i zobaczyć, co się zdarzy, a potem wrócić w przeszłość, żeby mieć pewność, że zdarzy się to tak, jak ty sobie tego życzysz, to w zasadzie masz w kieszeni prawie cały wszechświat.

— W zasadzie — rzekł Jo. — Ile masz lat?

— Szesnaście — odparła dziewczyna.

— Jesteś o dwa lata młodsza ode mnie. A ile razy przeszedłeś już przez tę szczelinę w Gwieździe Imperium?

— Nigdy — odrzekła zdziwiona. — Teraz po raz pierwszy w życiu jestem poza Perrypicker. Czytałam o niej tylko.

Jo skinął głową.

— Powiedz mi — wskazał na stos bloków logicznych — czy ten tu Wielgus nie jest oparty na świadomości pewnego LII?

— Słuchaj no... — zaczął Wielgus.

— Wiesz co, jesteś naprawdę bardzo nietaktowny — oświadczyła dziewczyna prostując się. — Robiłoby ci jakąś różnicę, gdyby...

— Nie robi żadnej — powiedział Jo i westchnął. — Tylko myślę sobie, że to wszystko już się kiedyś wydarzyło. Myślę też, że mam ci wiele do powiedzenia.

— Do powiedzenia o czym?

— O czym on mówi? — zapytał Wielgus.

— Słuchaj — rzekł Jo. — Wyzwolenie LII zajmie trochę więcej czasu, niż myślisz. Będziesz sama musiała przejść przez nieznośny smutek posiadania LII...

— Och, ja przecież nigdy bym nie mogła posia...

— Będiesz — powiedział Jo ze smutkiem. — Będiesz mieć ich więcej niż ktokolwiek przed tobą. To będzie zapewne jedyny sposób, w jaki będziesz w stanie ich oswozić. — Jo potrząsnął głową. — Wybuchnie wojna i wiele rzeczy spośród tych, które uważasz za najpiękniejsze i najważniejsze, ulegnie zniszczeniu.

— Ojej, wojna! Z kim? Jo wzruszył ramionami.

— Może z księciem Naktorem.

— Ale nawet mimo wojny ja nigdy... och, Wielgusie, wiesz przecież, że ja nigdy bym nie...

— Wielu ludzi zginie. Względy ekonomiczne, jak przypuszczam, przesądzą o tym, że całe zgromadzenie wraz z tobą zdecyduje, iż kupienie LII jest jedyną drogą do odbudowy. I kupicie ich. Będziecie musieli oboje ponieść wielki ciężar — smutku i czegoś jeszcze gorszego. Ale za wiele lat, kiedy wszystko to, co wam opowiadam, będzie się rozgrywać, natkniesz się na pewnego chłopca. —

Jo spojrział na swoje odbicie w szybie. — Miałem zamiar powiedzieć, że wygląda tak jak ja. Ale nie wygląda tak samo. Jego oczy... cóż, on nie ma takiego szklanego czegoś w miejscu prawego oka. Jego ręce... na lewym ręku będzie miał pazury. Będzie dużo bardziej opalony ode mnie, bo spędził na dworze więcej czasu niż ja ostatnio. Będzie mówił prawie niezrozumiałym językiem. Chociaż jego włosy będą podobne kolorem do moich, będą dużo dłuższe i w okropnym stanie... — Jo sięgnął nagle po sakwę i zanurzył w niej rękę. — Proszę. Zatrzymaj to, póki go nie spotkasz. Wtedy mu to dasz. — Wręczył dziewczynie czerwony grzebień.

— Zatrzymam — powiedziała zaskoczona. Obróciła grzebień w rękę i przyjrzała się mu. — Jeśli będzie mówił aż tak fatalnie, może uda mi się nauczyć go poprawnej wymowy na lekcjach interlingu. Panna Perrypicker była prawdziwą fanatyczką w kwestii poprawnej wymowy.

— Wiem, że ci się to uda — rzekł Jo. — Oboje z Wielgusem zapamiętajcie mnie dobrze i kiedy ten chłopiec przyjdzie do was, spróbujcie upodobnić go do mnie, na ile tylko będziecie w stanie. A poznacie go po tym. — Wskazał na Dika. — Będzie miał jednego z nich za towarzysza. Będzie leciał do Gwiazdy Imperium, tak jak my teraz, tylko że ty wówczas będziesz kierowała się gdzie indziej. Będzie miał do przekazania pewną wiadomość, tylko nie będzie wiedział, jak ona brzmi. Brakuje mu wiary w siebie i nie będzie w stanie pojąć, jak w ogóle możesz posiadać tak niesamowite stworzenia jak LII.

— Ale ja sama nie rozumiem, jak...

— Do tego czasu zrozumiesz — powiedział

Jo. — Rozprosz jego wątpliwości. Powiedz mu, że dowie się, jak brzmi wiadomość, zanim będzie mógł ją przekazać. To bardzo zagubiony chłopaczyna.

— Nie przedstawiasz mi go zbyt różowo. Jo wzruszył ramionami.

— Może do tego czasu poszerzysz swoje pasmo wrażliwości. Będzie w nim coś takiego, że...

— Wiesz — przerwała mu nagle, podnosząc wzrok znad grzebienia — myślę, że śliczny z ciebie chłopiec. — I w jej uśmiechu zawalczyły z sobą: skromność i zaskoczenie własnymi słowami.

Jo wybuchnął śmiechem.

— Nie chciałam nic... Ojej, przykro mi, jeśli powiedziałam coś...

— Nie! — Jo przeturlał się na plecy.

— Nie, to nic nie szkodzi! — Zamachał nogami w powietrzu. — Wszystko najzupełniej w porządku. — Przetoczył się z powrotem do pozycji siedzącej. I przestał się śmiać.

Ręce dziewczyny były splecione i skubały rąbek spódniczki.

— To nie z ciebie się śmiałem — powiedział Jo.

— Nie o to chodzi. Pochylił się do przodu.

— Więc powiedz, o co.

— Chodzi o to, że... no, odkąd opuściłam

Perrypicker, przytrafiają mi się niesamowite rzeczy. I każdy, kogo spotykam, zdaje się wiedzieć od kropery więcej o tym, co się dzieje, niż ja sama.

— Od kropery?

— O kurczę. Tego też nie chciałam powiedzieć. Panna Perrypicker pewnie by zemdląła.

— A... co to właściwie jest kropera?

Dziewczyna zachichotała i mimowolnie ściszyła głos, pochylając się w stronę Jo. — To jest to, co zbierają wszystkie dziewczęta z Perrypicker!

Jo skinął głową.

— Chwytam w ogólnym zarysie. Nie jesteś wielodrożna od zbyt dawna, prawda?

— Prawda. A jeszcze kilka tygodni temu — wskazała na Wielgusa — on nazywał się Rogus.

— No wiesz — powiedział Wielgus — nie musisz mówić mu wszystkiego.

— Nie szkodzi — powiedział Jo. — Rozumiem to.

— Miałam tyle przygód, odkąd się to wszystko zaczęło. I wszystkie były takie niesamowite.

— Co to były za przygody? — zapytał Jo. — Opowiesz?

— Ostatnia przydarzyła mi się na statku, którym leciałam zanim usiadłam na ten; tam nie musiałam się ukrywać. Był na tym statku pewien kosmoluch, któremu dawałam lekcje interlingu. Okazało się, że pisywał precudowne wiersze. Myślę, że jego wiersze całkowicie odmieniły moje życie — wiem, że brzmi to nieco melodramatycznie i pewnie nie zrozumiałbyś, jak się to stało. W każdym razie, ten chłopiec przedstawił mnie Wielgusowi. Wielgus był jego przyjacielem, zanim został Wielgusem. Wielgus mówi, że to od niego przejął pomysł ukrycia się na pancerniku. Najwyraźniej ów chłopiec był również kiedyś ścigany przez wojsko i ...

— Więc Ni Taj i to kiedyś przeżył?

— Skąd wiesz, jak mu było na imię?

— Znam jego wiersze — powiedział Jo. — Rozumiem, w jaki sposób odmieniły twoje życie. Dzięki nim wiesz, ile z twojego życia należy do ciebie, a ile do historii.

— Tak. Tak, dokładnie to mnie w nich uderzyło! — Opuściła wzrok na kolana. — A kiedy jest się księżniczką Imperium, do historii należy tak dużo, że dla samej siebie prawie nic nie zostaje.

— Czasami nawet gdy nie jest się księżniczką. — Jo sięgnął do sakwy i wyciągnął okarynę. — Zagraj razem ze mną.

— Dobrze — zgodziła się i podniosła gitarę.

Zagrali cichą, wznoszącą się melodię. Za szklaną ścianą w pędzie mijająca noc. A może tylko trwała w nieruchomym zasłuchaniu, kiedy dwoje młodych grało, a ich statek mknął naprzód.

— Patrzysz na mnie — powiedziała w końcu dziewczyna — jakbyś tyle o mnie wiedział... Czytasz w moich myślach?

Jo potrząsnął głową.

— To po prostu rozdrożne, parodrożne i wielodrożne.

— Mówisz, jakbyś i ty wiedział wszystko.

— Wiem, że ten tu Wielgus oparty jest na świadomości Muelsa Aranlyde'a. Odwróciła się.

— Wielgusie... nigdy mi nie mówiłeś!

— Nie wiedziałem. Ni Taj mi o tym nie powiedział. Powiedział tylko, że pochodzę od LII. Ale nie mówił, od którego LII.

— A ty jesteś San Severina. Obróciła się gwałtownie.

— Przecież wcześniej mówiłeś, że nie wiesz...

— A teraz mówię, że wiem.

— W miarę upływu czasu — stwierdził Wielgus — ludzie się uczą. W tym jedyna nadzieja.

Przez ścianę pancernika były ledwo widoczne ciemne, płomieniste masy wielodrożnego układu Gwiazdy Imperium.

San Severina podeszła do ściany i przytuliła policzek do szklanej tafli.

— Jo, czy przechodziłeś kiedyś przez szczelinę czasową w Gwieździe Imperium? Może dlatego wiesz tyle o przyszłości.

— Nie. Ale ty przez nią przejdiesz. Podniosła głowę, jej oczy rozszerzyły się.

— Ach, polecisz ze mną, prawda? Bałabym się lecieć sama! — Dotknęła jego ramienia. — Jo, może wiesz, czy wygramy?

— Wiem tylko, że czy wygramy, czy przegramy, potrwa to znacznie dłużej, niż myślimy.

Jej ręka ześliznęła się po jego barku i ujęła jego dłoń.

— Ale pomożesz mi! Pomożesz! Uniósł ręce i położył je na jej ramionach. Jej dłoń uniosła się wraz z jego dłońmi.

— Pomogę ci — zapewnił. Gwiazda Imperium zbliżała się do nich. — Oczywiście, że ci pomogę, San Severino. Jak mógłbym ci odmówić po tym wszystkim, co dla mnie zrobiłaś?

— Co takiego zrobiłam? — zapytała, znowu zaskoczona.

— Cśś — Położył palec na jej ustach. — Jeśli zadajesz pytania, na które nikt nie może ci odpowiedzieć, musisz po prostu uzbroić się w cierpliwość.

Dik czknął przez sen, a Wielgus dyskretnie zakasłał. Obrócili się i spojrzeli na Gwiazdę Imperium, a ja, w ochronnym gniazdku z ciała i kości, również spojrzałem, tylko dużo dalej.

Jestem Klejnot.

Klejnot

Klejnot w postaci krystalicznej spotyka

Kometę Jo

Klejnot, Kometa Jo i Roń Klejnot, Kometa Jo i Wielgus Klejnot w oku Komety Jo

Klejnot

Klejnot i Kometa Jo oglądają San Severinę

Klejnot i Kometa Jo spotykają młodą San Severinę

Klejnot, Ki i Marbika na jachcie organoformowym

Klejnot zamienia się w skryzalizowanego Trytowianina

Wielgus

Muels Aranlyde, pisarz półkrwi LII Muels ucieka z Ni Taj Li Muels zostaje sprzedany przez Ni Taj Li Rogus i Ni Taj Li spotykają młodą San Severinę

Wielgus

Wielgus i młoda San Severina spotykają

Kometę Jo

Wielgus i dorosła San Severina Wielgus eksploduje jako Oskar Wielgus i Kometa Jo na Księżycu

Wielgus

Wielgus i Kometa Jo na Placu Prasy Wielgus, Kometa Jo i Ni Taj Li Wielgus, Kometa Jo i Klejnot Wielgus jako Oskar i Kometa Jo odwiedzają San Severinę

San Severina

Młoda San Severina uczy się od Norna

pieśni Młoda San Severina w szkole panny Perrypicker

Młoda San Severina spotyka Rogusa

i Ni Taj Li Młoda San Severina spotyka Kometę Jo

San Severina

Młoda San Severina otrzymuje grzebień od Komety Jo

Młoda San Severina i Kometa Jo oglądają Gwiazdę Imperium

San Severina daje lekcje Komecie Jo

San Severina na pokładzie swego statku

San Severina

San Severina przygląda się Komecie Jo

po jego strzyżeniu San Severina żegna się z Kometą Jo San Severina i siedmiu LII San Severina jest oglądana w lochu

przez Kometę Jo

San Severina

Charona z 3-Psem na Rhysie Charona spotyka Kometę Jo Charona z Kometą Jo pod mostem na Rhysie

Kometa Jo

Kometa Jo na Rhysie

Kometa Jo otrzymuje wiadomość od

Norna

Kometa Jo i Dik spotykają Klejnota Kometa Jo spotyka Charonę

Kometa Jo

Kometa Jo z grzebieniem na Rhysie Kometa Jo i Roń oglądają LII Kometa Jo pobiera lekcje u San Severiny Kometa Jo zostaje ostrzyżony i obejrzany przez San Severinę

Kometa Jo

Kometa Jo żegna się z San Severiną Kometa Jo spotyka Wielgusa jako

Oskara

Kometa Jo i Wielgus na Księżycu Kometa Jo widzi Wielgusa zbliżającego się do Placu Prasy

Kometa Jo

Kometa Jo ucieka przed naukowcem Kometa Jo spotyka Ni Taj Li Kometa Jo, Wielgus i Klejnot Kometa Jo z Klejnotem w oku

Kometa Jo

Kometa Jo widzi San Severinę w lochu Kometa Jo spotyka San Severinę Kometa Jo daje grzebień młodej San Severinie

Kometa Jo i młoda San Severina oglądają Gwiazdę Imperium

Kometa Jo

Kometa Jo dostarcza wiadomość do gwiazdy Imperium Norn uczy młodą San Severinę pieśni Norn u sterów jachtu organoformowego Norn przekazuje wiadomość Komecie Jo na Rhysie

Wielodroźni czytelnicy odkryli już do tej pory, że opowieść ta jest znacznie dłuższa, niż myśleli, cykliczna i samorozjaśniająca. Zmuszony jestem wiele opuszczać; wprowadzajcie tylko wielodroźny porządek w swoje postrzeganie, a luki w tekście nie będą wam przeszkadzać.

„Temu nie ma końca!” — słyszę jakiś parodroźny głos.

Niesprawiedliwe. Spójrzcie na stronę numer osiem. Powiedziałem wam na niej, że istniał jakiś koniec i że Dik, ja sam i okaryna byliśmy przy Jo aż do wtedy.

Element układanki?

Proszę bardzo. Koniec nastąpił w jakiś czas po tym, jak San Severinie (po wielokrotnym przejściu przez szczelinę), łysej, pomarszczonej, poranionej, wyleczonej i starszej o sto lat, zezwolono porzucić władzę, a wraz z nią — nazwisko i sporo bolesnych wspomnień. Przybrała imię Charona i wielkiego 3-Psa za towarzysza i osiadła na satelicie zwanym Rhysem, gdzie przez pięćset lat jedynym, czego od niej wymagano, było strzeżenie bramy strefy przewozowej i uprzejmość dla dzieci, co odpowiadało jej ze względu na wiek.

Jeszcze jeden element? „Kropera” to woda zbierana o świcie kropla po kropli z liści liliaproci przez dziewczęta z Akademii Wychowania dla Młodych Dam Panny Perrypicker.

Och, mógłbym opowiedzieć wam nowiny dobre i złe, historie sukcesów i porażek. Książę Naktor rozpętał wojnę, która spopieliała osiem planet, niszcząc pięćdziesiąt dwie cywilizacje i

trzydzieści dwa tysiące trzysta pięćdziesiąt siedem kompletnych, oddzielnych systemów etycznych — drobna porażka. A teraz wielkie zwycięstwo: księżę Naktor, przez splot okoliczności, które pozostawiam wam do ustalenia, opętany strachem, zlany zimnym potem, uciekał o północy przez dżungle Central Parku na Ziemi, kiedy Dik ziewnął, wyłonił się zza kępy drzew i nadepnął na niego, całkiem przypadkowo — osiągnąwszy do tego czasu swoją dorosłą długość piętnastu metrów.

Opowiedziałem wam o tym, jak San Severina, postarzała, łysa i zwana Charona, pierwsza nauczyła dziecko Kometę Jo, co to znaczy rozdrożne, parodrożne i wielodrożne, pod miejscem o nazwie Most Brookliński na satelicie Rhys. Mógłbym wam także opowiedzieć o tym, jak na planecie nie nazwanej jeszcze w tej opowieści, pod miejscem o nazwie Most Brookliński, Jo, równie stary i pomarszczony i zwany wówczas Nornem, pierwszy nauczył dziecko San Severinę pieśni, którą San Severina śpiewała, kiedy grali razem w opuszczonej sali na pokładzie pancernika.

Mógłbym opowiedzieć wam, jak w dniu ostatecznego wyzwolenia LII, kiedy tłumy uciszyły się przed triumfalną muzyką, człowiek imieniem Roń, który będąc chłopcem, sam grywał dla LII jako kosmoluch, ze łzami drżącymi w kącikach oczu i gardłem ściśniętym ze wzruszenia, zupełnie jak wtedy, obrócił się do LII stojącego obok w straszliwym tłoku i wyszeptał — podkreślając nie tylko ogólne napięcie i niesamowity efekt, jaki wywołała krótka pieśń, lecz także druzgocący moment kulminacyjny, jaki stanowiło wyzwolenie: — Widziałeś kiedyś coś takiego?

LII milczał, ale stojący obok niego młody chłopak o orientalnych rysach odparł wyzywająco, z tłumioną wściekłością w głosie:

— Jasne. J a widziałem! — A potem rzucił w stronę LII: — No, chooodź, Muels, zrywajmy się stąd, co? — I LII razem z chłopcem zaczął przeciskać się ku skrajowi ciżby ludzi, aby rozpocząć podróż równie nieprawdopodobną jak ta, którą właśnie opowiedziałem — podczas gdy Roń stał w miejscu z otwartymi ustami, nie mogąc wprost uwierzyć w usłyszane przed chwilą bluźnierstwo.

Radosna porażka: księżę Naktor spalił ciało Jo na lodowych, spękanych erupcjami równinach planety okrążającej Ekwisignę — radosna, gdyż wyzwoliła Jo i dała mu możliwość używania wielu innych ciał, wielu innych imion.

Tragiczne zwycięstwo: na parę zaledwie godzin przed incydem z Dikiem w Central Parku Wielgus zniszczył umysł księcia Naktora, wbijając się na całą swoją maksymalną wielkość — kilkakrotnie większą od tej, którą miał, gdy widzieliśmy go swego czasu — w Stację Pomiarów Geodezyjnych, w głębi której w obmywanym odżywczym płynem jajku z kości słoniowej Naktor ukrył swój mózg — tragiczne, gdyż również Wielgus został ostatecznie zniszczony wskutek zderzenia.

Albo mógłbym opowiedzieć wam o samym końcu, który nastąpił równocześnie z samym początkiem, kiedy to wreszcie ktoś r z e c z y w i ś c i e przybył, aby wyzwolić LII, a Kometa Jo (zwany jeszcze wtedy Nornem), Ki, Marbika i ja sam wieźliśmy tę wiadomość organoformą z Pd. Doradus do Gwiazdy Imperium, i kiedy to nagle zawiódł mechanizm otorbiający i straciliśmy kontrolę nad sterami. Podczas gdy prawie wszyscy walczyliśmy o uratowanie statku, obróciłem się na moment i zobaczyłem

Norna, który stał z przodu i wpatrywał się w migoczące słońce, ku któremu pędziliśmy. Norn się śmiał.

Próbując ze wszystkich sił wyciągnąć nas z powrotem na właściwy kurs, zapytałem:

— Co w tym takiego śmiesznego? Potrząsnął powoli głową, nie odwracając jej.

— Czy czytałeś kiedyś jakieś wiersze Ni Taj Li, Klejnocie?

Jak już powiedziałem, było to na początku, i jeszcze ich wtedy nie czytałem. Ani też nie byłem skryzalizowany.

— Nie czas na dysputy o literaturze! — krzyknąłem, chociaż przed awarią Norn przez długie

godziny cierpliwie słuchał, jak opowiadam o książce, którą mam zamiar napisać.

Ki podpłynął do nas poprzez protofotoplazmę.

— Chyba nic już nie zdołamy zrobić. — Padające przez zielonkawą galarete światło błyszczało na jego zdjętej strachem twarzy.

Popatrzyłem ponownie na Norna, który dalej stał nieruchomo, podczas gdy światło rozlewało się jasną plamą w mroku. Jego śmiech umiął, na twarzy błyszczały mu łzy.

— Jest tam jakiś satelita! — krzyknęła Marbika z najgłębszej ciemności. — Może moglibyśmy wylądować awaryjnie...

Wylądowaliśmy.

W miejscu zwanym Rhysem, gdzie nie było nic poza rozdrożnym społeczeństwem jednego produktu ze strefą przewozową.

Pozostali zginęli. Byłem jako jedyny zdolny do dalszej drogi, a Norn przekazał wiadomość komu innemu, więc poszedłem dopilnować, by została dostarczona...

A może opowiadałem wam już tę część historii?

Wątpię.

W tym rozległym wielodrożnym wszechświecie jest prawie tyle satelitów o nazwie Rhys, ile miejsc o nazwie Most Brookliński. To początek. To koniec. Wam pozostawiam problem uporządkowania swoich spostrzeżeń i odbycia podróży od jednego do drugiego.

Nowy Jork, wrzesień 1965

Od tłumacza

Książka oparta w znacznym stopniu na humorze językowym — a taką książką jest bez wątpienia niniejsza powieść — stanowi dla tłumacza zawsze pewne wyzwanie. Ponieważ przekład prawie zawsze jest jakimś kompromisem, w którym gubi się mniejsza lub większa część oryginału, uważam, że Czytelnikowi należy się w tym miejscu parę słów wyjaśnienia.

Samuel R. Delany bawi się świetnie, zonglując w „Gwieździe Imperium” nie istniejącym w języku angielskim słowem „plex” (pochodnym od łacińskiego *plectere* — splatać), które jest jednak częścią rzeczywiście istniejących wyrazów „complex” (złożony, kompleksowy) i „multiplex” (wieloskładnikowy, wielotorowy). Łącząc te dwa słowa z neologizmami utworzonymi na ich wzór — „simplex” (kojarzącym się z „simple” — prosty, a także „simpleton” — prostaczek) i „noplex” (= „without any plex”) — oraz wywodząc od nich rzeczownik „plexity”, Delany stworzył opinającą całą powieść sieć nowych znaczeń. W moim przekładzie musiałem zdecydować się na jeden z możliwych sposobów przekształcenia języka polskiego, który może odbiega nieznacznie sensem od litery oryginału, ale jest poprawny słowotwórczo i nie tworzy dysonansów w pewnych zestawieniach.

Podając powyższe do informacji Czytelnika, zaznaczam zaledwie ów najbardziej w tekście powieści rzucający się w oczy aspekt językowej zabawy autora z odbiorcą. Innym przykładem tego typu igraszki jest imię „Wielgus”, czyli „wszędobylski wielodrożny gawędziarz uzdolniony słowotwórczo”. W oryginale imię to brzmi „Lump” — jest to skrót od „linguistic ubiquitous multiplex” a zarazem wyraz oznaczający bryłę, kluczę, guz, ale też niezdarę, prostodusznego faceta, obdarzonego przez naturę rozmiarami raczej niż inteligencją. W początkowej — rozdrożnej — fazie rozwoju Wielgus-Rogus nazywa się Lusp („linguistic ubiquitous simplex”), co kojarzy się z angielskim słowem „lisp” (seplenić).

Postać Wielgusa jest w ogóle interesująca. Podstawę jego konstrukcji psychicznej stanowi osobowość LII, którego nazwisko — Muels Aranlyde — jest anagramem nazwiska Delany'ego. Poza tym z książkowego dowcipu Wielgusa dowiadujemy się, że „prima aprilis” to jego (Wielgusa) urodziny — tymczasem autor „Gwiazdy Imperium” urodził się właśnie w prima aprilis, 1 kwietnia 1942 roku. Można w związku z tym zaryzykować twierdzenie, że niekłamany podziw Wielgusa dla twórczości Theodore'a Sturgeona, jednego z duchowych ojców amerykańskiej science fiction (1918-1985), jest wyrazem osobistych uczuć Samuela R. Delany'ego.

Podobnych przykładów autorskiej zabawy można oczywiście w utworze znaleźć o wiele więcej. Pominę tu liczne inne neologizmy, jak przekleństwo „gurga” (w oryginale „jhub”), będące nazwą pliazylu, nie mogę jednak nie wspomnieć jeszcze o aluzjach literackich. Udało mi się dotrzeć do źródeł jedynie dwóch spośród nich. Uwaga Komety Jo o Placu Prasy („Nieugięty, choć skrwawiony”) jest cytatem z wiersza Williama Ernesta Henleya (1849-1903) „Echoes”: „[...] In the fell clutch of circumstance /I have not winced nor cried aloud; /Under the bludgeonings of chance /My head is bloody, but unbowed.[...]” („[...] Nie mogły wydrzeć ze mnie głosu /Okoliczności twarde szpony; /Kark mój, pod gradem razów losu /Trwa nieugięty, choć skrwawiony.[...]” — tłum. M.C.). Natomiast określenie Gwiazdy Imperium przez Wielgusa jako „wirującego świata — nieruchomego punktu” („The still point in the turning world”) to prawie dokładny cytat z wiersza Thomasa Stearnsa Eliota

„The Four Quartets” (część pierwsza, „Burnt Norton”, w przekładzie Krzysztofa Boczkowskiego). Zachęcam Czytelnika do poszukiwań klucza do pozostałych aluzji i odniesień (zwłaszcza myślę tu o tajemniczych parach imion, pojawiających się w rozmowie Wielgusa z Ni Taj Li), a o moim zdecydowanie niepełnym, częściowym zaledwie odkryciu powiadamiam, by zapewnić

Odbiorcę o sensowności zdań i słów, które w tekście powieści występują pozornie bez związku. Oczywiście, zachęcam także wszystkich, którzy mają taką możliwość, do sięgnięcia w trakcie czytelniczych badań po oryginał „Gwiazdy Imperium”.

Chciałbym korzystając z okazji złożyć serdeczne wyrazy podziękowania moim Rodzicom oraz wszystkim Przyjaciołom, którzy w jakikolwiek sposób przyczynili się do ostatecznego kształtu tego przekładu, jak również w ogóle do jego powstania.

Marek Cieślik